NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 2 grudnia 1905 r. Nr. 49.

Demonstracya robotników przed parlamentem w Wiedniu.

(Do artykułu na stronie 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku.

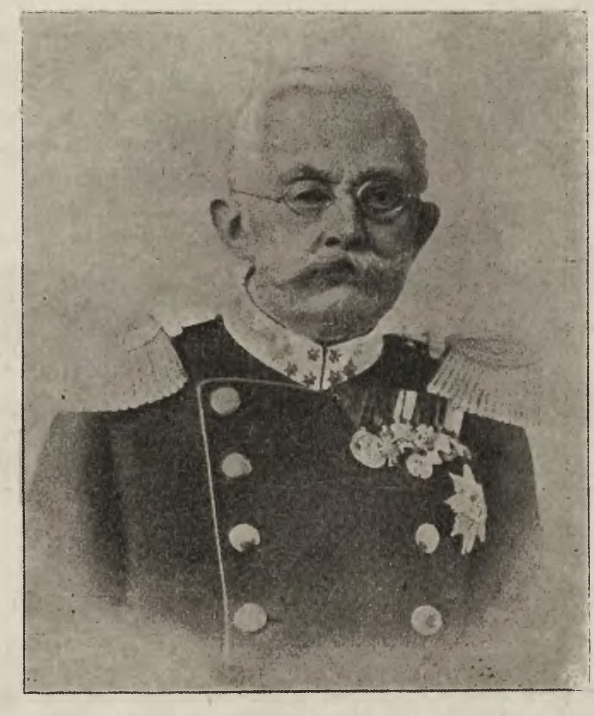
Demonstracya robotników przed parlamentem w Wiedniu.

(Do ilustracyi tytułowej).

Walka o powszechne prawo głosowania wysunęła się w Austryi na pierwszy plan. Rozognił ją fakt, że król węgierski uznał powszechne głosowanie za konieczny środek do przywrócenia sejmu węgierskiego na tory normalnej pracy. Żywioły radykalne podniosły więc i w Austryi głowę i wzięły się z całą energią do pracy, aby i cesarz austryacki zrozumiał potrzebę reformy wyborczej dla uzdrowienia parlamentu, który dzisiaj stał się niezdolnym do pracy. Parlament wiedeński bowiem jest rzeczywiście parlamentem przywilejów; olbrzymie masy ludu, który pracą swoją utrzymuje państwo i największą płaci ilość podatków, nie mają w nim odpowiedniej liczby reprezentantów i pozbawione są przez to słusznie im się należącego udziału w rządach. Aby więc zamanifestować swoją siłę i słuszność swoich żądań, urządziła partya socyalistyczna w dniu rozpoczęcia sesyi parlamentarnej t. j. we wtorek strejk masowy w całej Austryi. Strejk ten najwspanialej, wprost imponująco wypadł we Wiedniu.

Robotnicy zebrali się rano o godzinie 9 na placu Karola, poczem w szeregach po dziesięciu pomaszerowali przed parlament, niosąc czerwone sztandary i szarfy z napisami. Pochód ten imponował powagą, uroczystym nastrojem i mnogością uczestników, których liczba dochodziła do pół miliona. Dość powiedzieć, że pochód przesuwał się przed parlamentem przez przeszło pięć godzin, od godziny pół do dziesiątej do czwartej popołudniu. Jedna grupa robotników niosła wielką czarną trumnę z trupią główką i napisem „V. kurya“. Prócz tego niesiono mnóstwo tablic z napisami, wyrażającemi żądania robotników. Olbrzymia ta fala ludności przesuwała się w największym porządku przed parlamentem. Na czele szła deputacya, złożona z posłów socyalistycznych i delegatów z różnych krajów.

Deputacya robotników udała się do prezydenta ministrów barona Gautscha, prezydenta Izby panów ks. Windischgraetza i prezydenta Izby posłów hr. Vettera, z deklaracyą, iż zaprowadzenie powszechnego prawa głosowania jest koniecznością,



Zgon najstarszego panującego w Europie: Zmarły wielki książę luksemburski Adolf.

której nic oprzeć się nie zdoła. Prezydent ministrów baron Gautsch zaznaczył w odpowiedzi na przemowę deputacyi, że rząd sam przedłoży projekt reformy wyborczej, której jednak na poczekaniu załatwić nie można, bo jest to sprawa epokowej wagi. Podobną odpowiedź dali ks. Windischgraetz i hr. Vetter.

Warszawa po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego.

Stolica Królestwa Polskiego, jedno z najbardziej ruchliwych i handlowych miast imperyum rosyjskiego, które w ruchu rewolucyjnym odegrało bardzo ważną rolę, rozbrzmiała po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego niebywałą radością. Jako stolica kraju najbardziej kulturnego ze wszystkich prowincyi, pozostających pod berłem cara Mikołaja II., dała wyraz swej radości w sposób godny kulturnego narodu, który rozumie, co to jest wolność, umie o wolność walczyć i umie z niej należycie korzystać.

Wspominamy na innem miejscu, jak się zachowały po ogłoszeniu konstytucyi miasta w głębi Rosyi. Powstały w nich bandy rzezimieszków, które słowo „wolność“ na swój sobie tłómaczyły sposób, zyskując przez to powód do mordowania znienawidzonych przez te bandy żydów i inteligencyi. To też rzeczy, jakie się działy np. w Odessie, Kijowie, Symferopolu, Kazaniu, Tyflisie i innych miastach po ogłoszeniu konstytucyi, pozostaną na zawsze hańbą w dziejach naszego wieku. Były one najlepszym dowodem słów rosyjskiego dyplomaty, że większa część narodu rosyjskiego nie dorosła jeszcze do tych wyżyn, aby potrzebowała konstytucyi.

Społeczeństwo polskie przyjęciem manifestu konstytucyjnego zaznaczyło zaś raz jeszcze bardzo dobitnie, że jest społeczeństwem nawskróś europejskiem, kulturnem. W pięć dni po ogłoszeniu konstytucyi, kiedy Warszawa powróciła już do normalnego życia, 5 listopada, w tymsamym dniu, kiedy w Odessie np. mordowanie żydów doszło do punktu kulminacyjnego, urządzono w Warszawie uroczystą demonstracyę na cześć wolności. Rankiem odbyło się w starożytnej, z XIII. wieku pochodzącej katedrze św. Jana uroczyste nabożeństwo, poczem na ulicę wyszła procesya, z chorągwiami kościelnemi, z duchowieństwem na czele i wśród śpiewu pieśni wolności, przesuwała się przez miasto niby rzeka olbrzymia. Za duchowieństwem szły deputacye najrozmaitszych stowarzyszeń, poza nimi zaś



Warszawa po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego: Olbrzymia demonstracya patryotyczna w dniu 5-go listopada ze sztandarami i chorągwiami o barwach narodowych na ulicy Marszałkowskiej.



Zgon najstarszego panującego w Europie: Następca wielkiego księcia Adolfa, ks. Wilhelm luksemburski.

tłum, złożony ze wszystkich sfer ludności, tłum, liczący blisko 150000 głów. Olbrzymi ten pochód, ciągnął się aż 3 kilometry. Wszystkie okna w domach przy tych ulicach, któremi pochód przeciągał, przystrojone były emblematami patryotycznymi. Z dachów powiewały chorągwie o barwach narodowych. Pochód przesuwał się bez przeszkody, chociaż na ulicach nie było żadnej straży, ani policyjnej, ani wojskowej, Uroczystości nie zamąciło najdrobniejsze zajście, studenci utrzymywali bowiem wzorowy porządek. Tak doszedł pochód pryncypalnymi ulicami do pomnika Mickiewicza, gdzie przemówił do tłumów Henryk Sienkiewicz. Tak cząciła nadanie konstytucyi Warszawa w chwili, kiedy we wszystkich większych miastach Rosyi płynęła krew niewinnie mordowanych żydów i inteligencyi.

* * *

Załączone obok w dzisiejszym numerze ryciny, przedstawiają uroczysty ów pochód dnia 5 listopada w chwili, kiedy czoło pochodu dosięgło pomnika Mickiewicza, a druga pochód, prowadzony przez duchowieństwo w ulicy Marszałkowskiej.

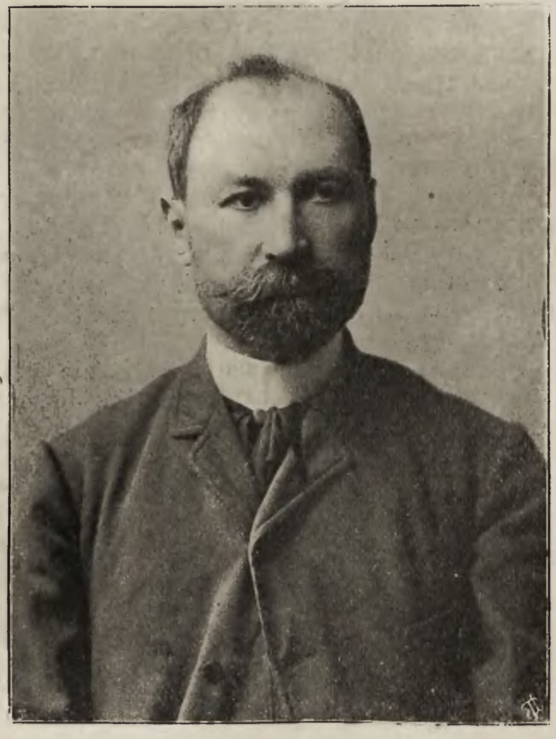
Zgon najstarszego panującego w Europie.

Po śmierci papieża Leona XIII. pierwszeństwo między panującymi dzierżył mocą starszeństwa wielki książę Adolf Luksemburski, który w tym roku, w czerwcu, ukończył 88 lat życia. Sędziwy książę od dłuższego czasu był ciężko chory i nie opuszczał prawie nigdy zamku Hohenburg, gdzie przepędzał ostatnie chwile życia, aż w ubiegłym tygodniu śmierć zamknęła mu powieki.

Wielki książę Adolf był najstarszym synem księcia Wilhelma nassauskiego; w młodym, bo jeszcze w chłopięcym wieku, wstąpił w służbę austryacką. W roku 1839 wstąpił na tron po swoim ojcu i aż do roku 1866 był księciem nassauskim. Jako panujący ulegał zupełnie wpływom dworu wiedeńskiego, wskutek czego stracił miłość u ludu, tak, że doszło do tego, iż tłum niejednokrotnie znieważał go publicznie. Burza rewolucyjna w roku 1848 ogarnęła i księstwo nassauskie; książę Adolf nie był jednak bynajmniej skłonnym do jakichkolwiek ustępstw na rzecz ludu, a nawet wystąpił otwarcie jako głowa reakcyi.

W roku 1849 stanął na czele niemieckiej brygady w wojnie z Danią. Nie miał jednak nadzwyczajnych zdolności strategicznych, nie zdołał więc zdobyć sobie wawrzynów, taksamo jak w wojnie niemieckiej w roku 1866.

W tymsamym roku księstwo nassauskie zostało przyłączne do Prus. Książę pogodził się z tem bez oporu, zażądał jeno, aby mógł zatrzymać wszystkie domeny jako swój prywatny majątek. Ponieważ jednak w takim razie, jako właściciel niezmiernych obszarów ziemi, mógł snadnie wzróść w potęgę i stać się niebezpiecznym dla Prus, rząd na to zgodzić się nie chciał. Po długich wreszcie układach stanęło na tem, że książę Adolf miał sobie zatrzymać kilka zamków, reszta zaś domen przeszła na skarb państwowy, który księciu wypłacił 8 i pół milionów talarów tytułem odszkodowania. Książę usunął się więc teraz z areny życia politycznego i przebywał w swoich zamkach, trudniąc się gospodarstwem. Zaciszny ten żywot przerwała śmierć Wilhelma III. króla niderlandzkiego. Na mocy układu z roku 1783 został książę Adolf następcą Wilhelma w wielkiem księstwie luksemburskiem, wskutek czego po raz drugi zasiadł na tronie. Było to w roku 1889. Książę Adolf rządził przez kilka lat, ale znużony życiem i kłopotami polityki postanowił wreszcie złożyć rządy w ręce swego syna Wilhelma, którego w roku 1902 ustanowił regentem.



Zgon zasłużonego pedagoga: Jan Darosław Amborski zmarły we Lwowie profesor języka francuskiego.
(Treść na str. 13).



Zgon najstarszego panującego w Europie: Marya Anna, żona obecnego w. ks. luksemburs. Wilhelma.

W związki małżeńskie wstępował książę Adolf dwa razy. Pierwsza jego żona, wielka księżna Elżbieta Michajłówna, umarła w rok po zamążpójściu swem t. j., w roku 1845. W sześć lat później ożenił się książę Adolf z księżną Adelajdą Anhalt i miał z nią dwóch synów i dwie córki, z których żyje obecnie jeno syn Wilhelm, który teraz wstąpił na tron luksemburski, oraz córka Hilda.

Nowy wielki książę luksemburski, Wilhelm, ożenił się, w roku 1893 z infantką Maryą Portugalską, która go obdarzyła sześcioma córkami.

* * *

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok portrety zmarłego księcia Adolfa, oraz jego następcy księcia Wilhelma wraz z żoną.



Warszawa po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego: Olbrzymia demonstracya patryotyczna w dniu 5 listopada. przed pomnikiem Mickiewicza.

BOJOWNICY.

POWIEŚĆ

osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

27 (Ciąg dalszy).

— A któż się cieszy? — spytała pani.

— Któżby, jeśli nie Polacy do spółki z żydami; zobacz pani twarze — oburzał się Bolcew — gdy przyjdzie, kłamliwa zresztą, wiadomość o marnem powodzeniu Japończyków! Jakie uśmiechy, jakie zacieranie rąk, jaka radość?! A cóż mówić o zagranicznych polskich dziennikach?! Szaleją i nie widzą, że swoim tem szkodzą, tu, w Królestwie.

— No, no, to już przesada — rzekł Sudkiewicz z grymasem niechęci — my żyjemy z polskiemi rodzinami, i moja żona i Olga są Polki a nie cieszyły się, ani cieszą.

— Tak, tak — dodał Lednoj — co racya, to racya.

— Ależ, bo państwo żyjecie z Polakami ucywilizowanymi — bronił się Bolcew — z możliwymi w naszem towarzystwie... ale ci inni, a zwłaszcza gawiedź uliczna, jakie śmiechy wesołe, gdy nasze wojska cofają się.

— I to prawda — pospieszył Lednoj — oto idę ulicą, a ulicznik ze śmiechem, z wykrzykiem woła: zwycięstwo! Kupuję dziennik, a tam... znowu się cofają.

— I wiecie państwo — prawił dalej Bolcew — tak tę hołotę radują Japończycy, że, jak nam doniesiono, w całem Królestwie zmniejszyła się agitacya socyalistyczna.

Olga odczuwała głęboko ten ton groźby i knuta w rozmowie, ale starała się o spokój; wzmianka jednak o socyalistach poruszyła ją, spojrzała z pod oka na Bolcewa i rzekła:

— Ten spokój socyalistów pozwoli panu odpocząć.

— Alboż my mamy kiedy odpoczynek — powiedział zgryźliwie — nie to, to drugie.

— I kto wie, czy nie jest to ich wybieg — zaśmiał się Lednoj — aby uśpić was.

— E, nie. Oni wiedzą, że wybiegi ich z nami nigdy się nie udają. Zresztą zrobiliśmy nieszkodliwymi najniebezpieczniejszych agitatorów, a tłum będzie cicho.

Mimowolnie przeszedł Olgę dreszcz trwogi; a jeśli wśród aresztowanych jest on, Bolek?

Danoby jej jednak znać, powiedzianoby jej, zaszeptało uspokojenie. Ale kto? Kto, prócz Heleny, wie, że on dla niej jest tak miły, tak drogi?

Jaka szkoda, że nie widziała się dzisiaj z Heleną; pójdzie wieczorem, byle się ci goście rozeszli.

Wstano od stołu i w salonie rotmistrz Lednoj, posiadający ładny baryton, który był pierwszą przyczyną przychylności dla rotmistrza pani Sudkiewiczowej, już odśpiewał ładną aryę z „Rigoletta" i przygotowywał się do pieśni narodowej rosyjskiej, gdy Jan, zbliżywszy się do Olgi, szepnął jej, iż jakaś pani przyszła do niej.

Bardzo mile została Olga zdziwiona, poznawszy w przybyłej Helenę. Zaprosiwszy ją do swego pokoju, kazała podać herbatę, usprawiedliwiwszy przed ciotką opuszczenie towarzystwa.

— Siadaj, moja droga... właśnie wybierałam się do ciebie, pragnęłam zasięgnąć nowin.

— I byłabyś mnie nie zastała — uśmiechnęła się Helena — byłam zajęta całe popołudnie.

— Czemże to?

— Najpierw miałam odczyt o dobroczynnych skutkach strejku, dla żon i córek robotników z dawnej fabryki Buczka. Następnie po zajmującej dyskusyi, widziałam się z grupą robotnic i rozdawałam nasze broszury, a obecnie jestem u ciebie z nowiną.

— Wesołą, czy smutną? — spytała Olga, a podniósłszy oczy na Helenę, dodała — już widzę, że z dobrą, mów!

— Zanadto jesteś domyślna — uśmiechnęła się — bo nowina ani wesoła, ani smutna, a nawet oczekiwana... Walczak tu przyjeżdża.

— Walczak?! Jakże to dobrze, bardzo go lubię, przypomni nam dawne, dobre czasy. I kiedyż będzie?

— Otóż to właśnie pytanie, które chciałam zadać tobie. W ostatnim liście wspomina, że widział się z moimi rodzicami i ma dla mnie ustne polecenia, ale o tak bliskim przyjeździe swoim ani słowem nie wspomniał.

— Więc wy ze sobą korespondowaliście? Dlaczegóż mi nic nie wspomniałaś?

— Nie widziałam w tem nic szczególnego, to raz — mówiła zarumieniona — a następnie nie pytałaś o to.

— A tak, to prawda — zaśmiała się Olga — nie zapytywałam o to. Wyborna jesteś... skąd masz wiadomość o jego przyjeździe obecnym?

— Dowiedziałam się od jednego towarzysza, który go zna, bo wiesz, Walczak bywa często w Dąbrowie, Zawierciu, Częstochowie i utrzymuje żywe stosunki z robotnikami; i on pracuje i bardzo naraża się dla partyi Już ja wiem z własnego doświadczenia, co znaczy przewozić książki i proklamacye.

— Ależ wiem, kochana, że Walczak jest bardzo energiczny, mówił o tem Bolek, tj. Żalecki — zarumieniła się.

— I co ci mówił? — spytała zaciekawiona.

— Brak nam tu Walczaka; to człowiek, który ma głowę i ręce do roboty.

— I wiesz, Olgo, to prawda... ale wracając do rzeczy, przyszłam do ciebie, bo raz mógł ci coś Buczek powiedzieć, a następnie ty masz znajomości z wybitniejszymi działaczami, oni napewne coś wiedzą, bo taki Walczak nie przyjeżdża bez „ale" do Warszawy.

— Buczek mi nic nie mówił, dziś nie widziałam go nawet... a kogóż znam więcej?... Jeden Komar, mógłby dać wskazówkę, ale dziś niedziela i biura fabryczne zamknięte...

— Moja złota, pomyśl tylko dobrze — prosiła Helena — może znajdziesz sposób odkrycia Komara, bo tak mi zależy na widzeniu się najszybszem z Walczakiem; jak wiesz, on ma dla mnie nowiny z domu.

— Rozumiem to — uśmiechnęła się Olga — ale jak to zrobić?

Przez dobrą chwilę milczała, wreszcie powiedziała z wahaniem:

— Tylko dla ciebie zrobię pewnego rodzaju nadużycie... jest ktoś na Lesznie, który, przypuszczam, że wie, gdzie jest Komar, ale wierz mi, on może nam wziąć za złe, że niepokoimy go takiemi pytaniami.

— Czy ten Komar taki straszny? — zaśmiała się Helena — i on ma mózg, krew, serce, zrozumie, że można pragnąć widzieć kolegę, przyjaciela.

— Jestem pewna, że on nas wydrwi i nie powie ani słowa.

— Oldziu moja, spróbujmy, co ci to szkodzi? Już ja wszystkie drwiny biorę na siebie, powiem, że to ja namówiłam ciebie do tego głupstwa... No, chodźmy!

— Ha, jeśli chcesz koniecznie, pójdę... ale tylko dlatego, Helenko, że odczuwam ciebie, rozumiesz?

— Nie, nie chcę nic rozumieć... i cicho już, Olgo, kiedyś ci to wytłómaczę.

— Z pytaniem, czy bez pytania? — zaśmiała się Olga, zmieniając rękawiczki.

Wyszły i na ulicy ogarnął ich zaraz właściwy Warszawie żywy ruch, wesołość i energia życia, wylewającego się z hałasem i śmiechem po za obręcze i różnorodne kleszcze, któremi rząd hamuje i ściska każdy żywszy objaw, nietylko narodowy, ale i towarzyski. W potokach światła latarń przelewała się fala ludzi na chodnikach ze śmiechem, dowcipami, ze szelestem spodnic, stukiem bucików, a ulicą jechały w nieprzerwanym szeregu dorożki, dzwoniły tramwaje, przebiegały rowery i automobile.

Szły szybko, ale zanadto powolnie dla Heleny, która wreszcie postawiła na swojem, że pojechały dorożką.

Wysiadły na rogu Wroniej, a Olga rzekła:

— Ty, Heleno, idź Lesznem do pierwszej przecznicy na prawo, do ulicy Żelaznej i wrócisz się do Wroniej. Gdybym nie wróciła jeszcze, powtórzysz ten spacer, ale do mego przyjścia.

— Cóż za tajemnice nadzwyczajne? — zaśmiała się z ironią.

— Nie mam prawa bez potrzeby wskazywać naszych towarzyszy; to nie moja tajemnica, lecz osoby trzeciej.

— Już dobrze... idź... nie nudź!

Olga weszła po chwili do sklepiku, powitana przez Maryę, która ją już znała.

— Mam do was prośbę, towarzyszko — zaczęła Olga z wahaniem.

— Mówcie śmiało, znamy się.

— Podobno dziś ma przyjechać jeden z naszych towarzyszy z zagranicy. Zależy mi na pewności, czy i kiedy przyjedzie.

— A cóż ja wam poradzę?

— Przypuszczam, że towarzysz Komar jest powiadomiony o tem dokładnie, gdyż przyjeżdżający przywozi dla nas zwykle transporty. Otóż, czy nie moglibyście mi wskazać, gdzie znajdę towarzysza Komara?

— Nie, tego nie mogę zrobić, chociażbym się domyślała, gdzie jest. Czy zobaczycie tego towarzysza kilka godzin wcześniej, czy później, partya nic nie straci na tem. Co innego, gdyby szło o życie, bezpieczeństwo, szpiegostwo... ale w tym wypadku nie mogę wam nic pomódz.

— Przeczuwałam to — westchnęła Olga, mając na myśli rozczarowanie Heleny — i przepraszam was, towarzyszko, za niestosowność mej prośby — podała rękę na pożegnanie.

Już była blisko drzwi, gdy kupcowa zawołała:

— Wróćcie się... żal mi was, towarzyszko. Jeśli ten, kogo się spodziewacie, ma transport... możliwem jest, że albo dziś około dziesiątej przyjedzie, albo rano o piątej, bo na jutro obiecano... broszury. Ale to mój domysł tylko... nic nie wiem pewnego i za zawód nie miejcie do mnie żalu lub pretensyi.

— Dziękuję wam serdecznie — uścisnęła jej rękę — zawsze to nadzieja jakaś.

— Szczęśliwa, że możecie się łudzić — westchnęła kupcowa.

Olga pospieszyła w kierunku Żelaznej, a spotkawszy Helenę:

— Wiedziałam, że nie wypada trudzić towarzysza Komara takiemi pytaniami, to mi potwierdzono.

— Dobrze... ale co dalej?

— Są tylko domysły... dalekie prawdopodobieństwo, że może Walczak przyjedzie albo dziś około dziesiątej w nocy, albo jutro o piątej rano... tak mi powiedziano.

Helena spojrzała na zegarek.

— Jedźmy, Olgo, na kolej, możemy się spóźnić, już dziesięć na dziesiątą, a to taki kawał.

Gdy przyjechały na dworzec warszawsko-wiedeńskiej kolei, oznajmiono im, że pociąg z Granicy będzie za pięć minut. Czekały blisko wejściowych drzwi na peron, umawiając się, że najlepiej oczekiwać przy wyjściu, aby się nie rozminąć z przyjeżdżającymi.

Widziały przez oszklone drzwi, jak żandarmi, chłop w chłopa wysocy i silni, rozstawiali się na peronie, następnie przyszli uzbrojeni w szable strażnicy komory celnej i rozstawili się również wzdłuż peronu, tylko głębiej od żandarmów.

Lokomotywa z czerwonemi ślepiami, ziejąca dymem, wbiegła po szynach najbliższych peronu, drzwi wejściowe otwarto na rozcież i wyczekujący wtłoczyli się na peron, rozbiegając się na wszystkie strony.

Wagony opróżniały się z podróżnych. Najpierw z głośnym szwargotem, potrącając się, wybiegli żydzi, pędząc co tchu z tobołkami. Następnie zjawiali się inni podróżni, a że to była niedziela, dużo osób wracało z wycieczek podmiejskich. Na twarzach widać było zmęczenie, ale uśmiech zadowolenia nie znikał, a zielone gałązki z drzew, kwiaty polne przyozdabiały tak mężczyzn, jak kobiety. Wreszcie nadchodzili właściwi podróżni i nagle posłyszała Olga radosny głos Heleny:

— Jest!... Jest!

Olga spojrzała w kierunku oczu Heleny i również dostrzegła Walczaka, w szarym, eleganckim garniturze marynarkowym, w jasnym kapeluszu; z niezamąconą powagą niósł dość wielki kuferek ręczny.

Widocznie poznał koleżanki, bo przyspieszył kroku i z rozjaśnioną twarzą, podając rękę:

— Witajcie... co za niespodziane spotkanie... jak to dobrze — lekko uścisnął rękę Olgi, a może za długo trzymał w swej dłoni małą rączkę Heleny, nie odrywając od niej oczu.

— Witam serdecznie... co słychać? — szeptała Helena zarumieniona.

— Jedzie ze mną Buczek, podzieliliśmy się pakunkami... ja to – wskazał na kuferek położony – on transport.

— Gdzież on? — spytała Olga.

— Właśnie idzie.

Był o jakie sześć kroków, a mając w jednej ręce kuferek, w drugiej dość wielki paknnek owinięty papierem, kłaniał się skinieniem głowy i witał uśmiechem.

Wtem do idącego podszedł strażnik komory celnej, zagrodził mu dalszą drogę i głośno spytał po rosyjsku:

— Co pan tu ma... proszę pokazać — i położył rękę na pakiecie.

Olga zbladła i zachwiała się, a niemniej przerazili się Helena i Walczak. Chwila oczekiwania, co będzie, wydała im się nieskończenie długą i roz-

szerzonemi zgrozą oczyma wpatrywali się w Żaleckiego i strażnika.

Zatrzymany złożył spokojnie kuferek przy swoich nogach i rozdzierając papier pakunkowy, podniósł paczkę w górę, mówiąc spokojnym głosem:

— Książki.. widzi pan?... To ani jedwab, ani inny towar... i daj mi pan spokój.

Opuścił w dół trzymany pakunek, podniósł z ziemi i szedł wprost dalej miarowym, równym krokiem, uśmiechając się porozumiewawczo do pobladłych przyjaciół. Jedna tylko Olga zauważyła, że w chwili zatrzymania, pobladły mu lekko usta.

Nie zatrzymywał się wcale przy stojących jeszcze w osłupieniu towarzyszach, lecz dał nieznaczny znak, żeby szli za nim.

Wyszedłszy z dworca, skinął na dorożkę, włożył kuferek i pakunek, a do zbliżającej się Olgi szepnął podając jej rękę do uścisku:

— Byliby się obłowili, psie syny — zaśmiał się — ale nie dałem.

— Bolku — szepnęła uradowana i rozczulona jego ocaleniem.

— Stachu — zwrócił się do Walczaka — kuferek do panny Heleny, a oboje przyjedźcie do Wróbla... a ja do was Olgo z transportem, jeśli można, a następnie — na kolacyę, zasłużyliśmy na nią rzetelnie.

— Jak możecie się tak, Bolku, narażać? – powiedziała z wyrzutem, gdy już siedzieli w dorożce.

— Nie spodziewałem się przytrzymania; całe szczęście, że żandarm nie dosłyszał.

— A jeszcze większe, że was wolno puścili i że mieliście dosyć krwi zimnej... Ja byłabym się zmieszała i szukała wybiegu, a wy powiedzieliście wprost prawdę.

— Najlepszy sposób zamydlenia im oczu. Słuchajcie Olgo, a będzie można niepostrzeżenie wsunąć do was kuferek i paczkę?

— Prawdopodobnie ciotka wraz z gośćmi albo jest w salonie, albo co prawdopodobniejsze, wyjechała za miasto. W każdym razie wpierw zajrzę, a wy zaczekacie na dole, w dorożce.

— Gdyby wam to robiło trudności, nie kłopoczcie się, poradzę sobie.

— Nie wątpię — uśmiechnęła się — ale te książki do mnie należą, jako do głównego składnika. Więc wyjeżdżaliście?

— Wczoraj wyjechałem wieczornym pociągiem do Sosnowic... a w drodze w Ząbkowicach spotkałem się z Walczakiem.

— To Heleny zasługa, że widzę; się z wami, tak nalegała, że wreszcie zasięgłam wiadomości o transporcie i znalazłam się na pociągu.

— Więc Helena wiedziała już o Walczaku?

— Wiedziała.

— Ci mają się ku sobie — zaśmiał się — i muszę przestrzedz Stacha, aby zbytnio nie rozpuszczał się w miłości.

— Co wam to szkodzi? Po co się wtrącać?

— Zależy mi na tem, nawet bardzo, aby miał swobodną głowę. Bo i cóż mi z człowieka, który tylko deklinuje: ona, jej, ją, w niej, dla niej, przez nią... Kiedyż ma czas zająć się tylko pracą?

— Więc wy macie szufladkę w sercu i mózgu? — powiedziała z przekąsem — i w chwili potrzeby wysuwacie jedną z miłością, albo drugą ze sprawą.

— Mylicie się, Olgo... Kocham was bardzo serdecznie i szczerze; przypuszczam, że i wy mnie kochacie; żądaliście zwłoki aż do pełnoletności i zgodziłem się, czyli innemi słowy, nałożyłem kaganiec silnej woli na pragnienia, pożądania, instynkta, bo uważam za rzecz niemoralną zmuszać was do ustępstw. Prawda, że chwilami ciężko mi i smutno i wtedy rzucam się w sam wir, w malstrom sprawy naszej i odzyskuję panowanie nad sobą.

— Jacy wy dobrzy — uścisnęła mu rękę — jak ja was kocham — przytuliła się do niego i gorący pocałunek połączył ich na chwilę. Było jej bardzo dobrze, bardzo słodko, lecz nagle ogarnęła ją jakaś trwoga, jak po spełnieniu czegoś złego; głucha obawa, że poniosła jakąś stratę... odsunęła się szybko i jeszcze zarumieniona ze wzruszenia rzekła:

— Czy pomyśleliście kiedy, co będzie ze mną, jeśli was uniesie ten wir?

— Zdałem sobie sprawę Olgo, was uratuje idea, dla której poświęciliśmy się oboje i będziecie pracowali za siebie i za mnie.

Dorożka stanęła, a Olga, wyskoczywszy z niej, spojrzała na okna pierwszego piętra; były ciemne, zwróciła się więc do siedzącego w dorożce:

— Możecie iść śmiało, bierzmy pakunki.

Stróż kamieniczny, stojący w bramie, patrzał trochę zdziwiony tym przyjazdem panny z pierwszego piętra i chciał pomódz do wniesienia rzeczy.

— Dziękuję wam — przemówił Bolek — przypilnujcie palta mego.

Cicho i zręcznie otworzyła Olga drzwi do przedpokoju, na migi dała znak, aby wniósł pakunki do jej pokoju i wsunęła je w róg pod biórko.

— Zaczekajcie na mnie na schodach, albo na dole... muszę zbadać dom — szepnęła, zamykając drzwi za nim.

Przeszła do kuchni. Kucharki i Jana nie było, siedziała tylko Sabinka nad jakąś książką.

— Moja kochana, zaściel mi szybko łóżko... wyjdę jeszcze.

— Zaraz, panienko — a idąc z nią do pokojów — pewno panienka spotkała się z jaśnie panią, która prosiła, aby panienka przyjechała na kolacyę do Marcelina.

— A tak, tak... dawno pojechali?

— Może niecała godzina... i jaśnie pani nie kazała nam czekać przybycia do domu... pewno zabawi długo,



Wtem do idącego podszedł strażnik komory celnej i głośno spytał po rosyjsku. — Co pan tu ma? — proszę pokazać! — i położył rękę na pakiecie.

Szybko zaścielała łóżko i mówiła:

— Gdyby się panienka nie obraziła, spytałabym się o coś?

— Mów, nie obrażę się.

— Czy to prawda, że panienka pójdzie za tego żandarma?

— Nie, Sabinko, nie pójdę.

— I ja to mówiłam — zawołała ucieszona — gdzieżby taka panna, katoliczka, poszła za żandarma? A ten Jan przysięgał się, że ma nawet obiecaną służbę, jak ten żandarm ożeni się z panienką. Przysięgał się... ale taka to i przysięga.

— Więc Jan prawosławny?

— Alboż panienka nie wiedziała... ho, ho, dużo mam też do opowiadania panience, bo on bardzo sprzyja temu żandarmowi.

— Dobrze, Sabinko... opowiesz mi, ale później, teraz spiesze się... gaś lampę... idę... do widzenia, Sabinko!

— Całuję rączki panienki.

— A nie mów nikomu, że byłam w domu.

— To się wie... ani słowa.

Zbiegła szybko na dół i wsiadłszy do oczekującej dorożki mówiła szybko:

— Ciotki niema w domu.. mogę być z wami jakąś godzinę.

— Dobre i to... Czy ćwiczycie się w składaniu?

— Próbuję, ale idzie bardzo niezręcznie.

— I mnie nie lepiej — zaśmiał się – ale jakoś poradzimy sobie... Nie macie jakich wiadomości ciekawych?

— Niestety nic, prócz słów Bolcewa, że w Królestwie przycichła agitacya socyalistyczna, tak zajmują się wszyscy zwycięstwami japońskiemi.

Dojechali do restauracyi. Zajęli boczny stolik na werandzie, stosunkowo dość odosobniony i za chwilę weszli, oboje bardzo rozpromienieni, Helena i Stanisław.

— Ci już się porozumieli — szepnął Bolek.

— Nic dziwnego, ona taka samotna — odszepnęła z wyrozumiałością.

— Czekamy na was — mówił Bolek głośno – siadajcie i jedzmy. Jestem jak wilk głodny z podróży i wrażeń.

— Ja nie tak bardzo — uśmiechnął się Stach.

— Nic dziwnego, nakarmiła cię koleżanka — zaśmiał się.

— Nie miałam nic w domu — pospieszyła Helena.

— O, wy materyaliści — rzekł Bolek z patosem — więc uczuć nie liczycie? To potrawa godna bogów i was.

— Cóż znowu?! — zarumieniła się Helena.

Garson przyniósł spis potraw, a Bolek biorąc w rękę zaczął z patosem:

— Słuchajcie najpiękniejszego wykładu literatury — zaczął odczytywać — ja wybrałem... dwie porcye pieczeni z rożna na jednym talerzu a wy?

Po kolei wybrali potrawy, a garson:

— Co panowie każą podać... piwo.. wino?

Panny i Walczak odmówili, a Bolek ku zdumieniu wszystkich zadysponował:

— Kieliszek wódki... zakąska... i wielkie piwo.

— Jakto, pijesz?... Pijecie? — zawołano po odejściu garsona.

— O, abstynenci! Jestem tak zatwardziały, że nie oblewa mnie rumieniec wstydu i będę pił nawet przy was.

— Ale dlaczego to robicie? — powiedziała Helena — wiecie, że alkohol niepotrzebny, a nawet szkodliwy dla organizmu.

— Czy dla brawury? — zaśmiał się.

— Uspokójcie wasze zwykle łagodne umysły, o abstynenci, piję bo muszę, bo tego wymaga robota, bo tak polecił mi Komar, a ten zna ludzi.

— Zapewne macie racyę — odezwała się Olga — nie chowajcież światła pod korzec.

— Jako ludzie do pewnego stopnia inteligentni, wiecie, że...

Garson przyniósł wódkę w tej chwili i Żalecki wypił ją.

— Otóż wiecie, że każde zwierzę i tem samem człowiek, musi zastosować się do otoczenia się, upodobnić się, jeśli w tem otoczeniu chce żyć... Jestem przeważnie z robotnikami, pracuję, rozmawiam, bawię się... i organizm swój przystosowuję do otoczenia. Czy tych sto i jeden słów wystarczą waszej mądrej głowie?

— A więc dlatego? — rzekł Stach.

— A dlatego... cud, żeś zrozumiał nareszcie — śmiał się — bo galicyanie mają zakutą głowę wogóle.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Sejm galicyjski.

W chwili, gdy numer ten dostanie się do rąk czytelników naszych, sesya sejmowa jesienna będzie zamkniętą. Pokłosie tej sesyi bardzo skromne. Załatwiono budżet, załatwiono cały szereg sprawozdań wydziału krajowego i trochę wniosków poselskich, wszystko to jednak były sprawy mniejszej doniosłości. Ale prawda! W ostatnim dniu załatwiono i sprawę reformy wyborczej — załatwiono oczywiście w myśl skostniałych, zapleśniałych poglądów konserwatywnej prawicy. Nie cieszcie się jednak panowie z tego zwycięstwa! Ono oznacza zbliżający się koniec waszych rządów w kraju! Odwlekliście tę chwilę na czas jakiś, ale nie na długo. Śmieszny, ale i smutny zarazem przedstawia widok ta walka o „stan posiadania“, walka w obronie kilkunastu mandatów — dziś, gdy świat cały z takiem natężeniem patrzy na ogromnie szybki bieg wypadków olbrzymiej doniosłości dziejowej, gdy świat cały patrzy, jak walą się tak do niedawna potężne trony, a wzmaga się rewolucya.

Drobnym takim wypadeczkiem z ostatniej sesyi jest też zawiązanie i zorganizowanie klubu centrum, do którego weszli wszyscy posłowie księża, stojałowczycy i posłowie katolicko-ludowi Kramarczyk, Potoczek i Szwed. O wszystkich tych posłach pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, zanim się zorganizowali. Na czele nowego klubu stanął nowo-obrany poseł z miast Jasło-Gorlice, ks. Leon Pastor.

Dla zaokrąglenia naszych uwag o sejmie galicyjskim należy w kilku słowach podać parę szczegółów o klubie posłów ruskich.

Klub posłów ruskich

składa się w tej sesyi z trzynastu członków. Fatalna liczba! W trzynastce tej jest czterech księży: Bohaczewski, Effinowicz, Mandyczewski i Mazikiewicz; czteru włościan: Barabasz, Huryk, Ostapczuk i Staruch; trzech adwokatów: Korol, Mogilnicki i Oleśnicki, radca sądowy Glidziuk i zarządca wydawn. książek szkolnych Ochrymowicz. Klub ogromnie wojowniczy. Przed dwoma laty, niezadowolony ze stanowiska sejmu wobec sprawy gimnazyum ruskiego w Stanisławowie, urządził secesyę gremialną, przy rozpisanych jednak wyborach uzupełniających, stanęli jako kandydaci ci sami secesyoniści i do sejmu wrócili, z wyjątkiem p. Barwińskiego, którego mandat dostał się ks. Effinowiczowi.



Człowiek podwójny: Jan Libbera wraz ze swym bratem Jakóbem.

Klub ruski, złożony z posłów o bardzo rozmaitym poziomie inteligencyi, wykształcenia i wyrobienia politycznego, prowadzi swą działalność w sejmie pod hasłem walki z Polakami. Każdą drobnostkę, każdy fakt jakiegoś przekroczenia ze strony urzędnika Polaka we wschodniej Galicyi, przedstawia się potem w metrowych interpelacyach ks. Bohaczewskiego lub innego posła ruskiego, jako „niesłychane nadużycie“, jako „gwałt na narodzie ruskim“. Nie robi to już jednak wrażenia taksamo, jak i groźby, pod adresem już nie większości sejmowej, ale całego społeczeństwa polskiego.

Na czele klubu posłów ruskich stoi adwokat dr. Oleśnicki. człowiek bardzo wybitny, mowca znakomity. Był czas, kiedy dr. Oleśnicki szczerze pragnął zgody z narodem polskim. Wówczas to ze strony własnego społeczeństwa spotkał się z takiemi inwektywami, z takiemi obelgami, że zniechęcony do dalszej pracy politycznej chciał plunąć na wszystko i usunąć się do życia prywatnego. Rusini zrozumieli wówczas, że ustąpienie dr. Oleśnickiego byłoby dla nich stratą niepowetowaną i zaczęli odwrót. Dr. Oleśnicki stał się przedmiotem owacyj, błagano go, by politykę ich dalej prowadził i ostatecznie udało im się nietylko go zatrzymać, ale nawet przerobić na własne kopyto. Dziś dr. Oleśnicki w „borbie z Lachami“ stoi w jednym szeregu z ks. Bohaczewskim, dr. Korolem, dr. Mogilnickim. Ostatni jego występ, to deklaracya z powodu sprawy Wawelu.

Na szczególną wzmiankę zasłużył też sobie sprawiedliwie „Otec“ Bohaczewskij. Figurka niepokaźna, ale w „borbie“ nieubłagany. W sejmie mówi rzadko, ale zato bardzo długo i bardzo prędko. Stąd jest postrachem stenografów, którzy nie są w stanie nadążyć potokom wymowy księdza posła.

Najsympatyczniejszą postacią wśród członków klubu ruskiego jest włościanin Huryk. Inteligencyą, wymową, znajomością spraw krajowych nie ustępuje naszemu Bojce.

Członek wydziału krajowego p. Glidziuk odznacza się temperamentem bardzo spokojnym. Do secesyi przed dwoma laty się nie przyłączył. Nie chciał ryzykować stanowiska członka wydziału krajowego z bardzo piękną pensyą i wracać na posadę radcy sądowego w Turce.

Dr. Korol, choć należy do stronnictwa staroruskiego, moskalofilskiego, w sejmie idzie razem z Ukraińcami. W tegorocznej wielkiej mowie budżetowej odgrażał się bardzo ostro społeczeństwu polskiemu, za rzekome krzywdy Rusinów. Piosnka to zbyt zużyta.

Na zakończenie wspomnieć należy, że posłowie ruscy są w sejmie prawie zupełnie odosobnieni, bo nawet ludowcy, którzy doniedawna szczerze im sprzyjali, widząc, nieprzejednane wobec Polaków, pełne nienawiści stanowisko Rusinów, usunęli się od nich i tylko wyjątkowo posiłkują się podpisami ich przy wnoszeniu interpelacyj lub wniosków.

* * *

Zamieszczona obok ilustracya przedstawia prawą stronę Izby sejmowej podczas posiedzenia. Miejsce, oznaczone krzyżykiem, zajmują posłowie ruscy.



Sejm galicyjski: Prawa strona Izby sejmowej podczas posiedzenia. — Miejsce, oznaczone krzyżykiem zajmuje klub posłów ruskich.

Z dni grozy w Kijowie.

Szalona anarchia jaka po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Rosyi powstała we wszystkich jej większych miastach, wynikła przez fałszywe zrozumienie świeżo otrzymanych swobód, roszalała się również i w Kijowie. O ile jednak huligani w innych miastach głównie skierowali swą nienawiść przeciwko żydom, o tyle w Kijowie rozbójnicze bandy dały się dobrze we znaki nie tylko żydowskiej ludności.

Pisaliśmy w jednym z po rzednich numerów, co to są chuligani. Tu dodamy tylko, że z nich wyłącznie rekrutowały się owe „czarne sotnie“, które się tak krwawo zapisały na kartach historyi odradzającej się Rosyi. Bandy tych szumowin społecznych, do dziś dnia pozostające na najniższym stopniu kultury, ludzie o instynktach zwierzęcych, żądni mordu i rabunku, dopuszczali się rzeczy, które na zawsze pozostaną plamą cywilizacyi naszego wieku.



Z dni grozy w Kijowie: Ciężko ranni, czekający na opatrunki w klinice uniwersyteckiej dnia 5 listopada br. (Według nadesłanej nam fotografii).

To, co się odgrywało przez kilka dni na ulicach Kijowa z początkiem listopada, wywołać musiało zgrozę i oburzenie całego świata. Rozpasały się tam bandy ludzi, nienawidzących wszystkich tych, którzy za nich umierać byli gotowi, nie rozumiejących idei całego społeczeństwa rosyjskiego, a ziejących jeno nienawiścią do każdego. kto miał „porządne ubranie“. Tego uważali chuligani za wroga i takich



Z dni grozy w Kijowie: Przewrócony tramwaj, służący za barykadę przeciw chuliganom. (Według nadesłanej nam fot.).

ludzi mordowali bez upamiętania. Ofiarą ich zwierzęcej okrutności padło kilkaset żydów, oraz mnóstwo robotników i studentów, których zabijano w biały dzień na ulicach, a trupy pozostawiano na pastwę głodnych psów.

Ludność Kijowa, robotnicy i mieszczanie musieli się przed chuliganami bronić jak przed wojskiem. Na ulicach stawiano barykady z przewróconych tramwajów, beczek, szaf i t. p. przedmiotów, które miały powstrzymać napór szalejących band. Ale chuligani rzucali się i na barykady i jeżeli nie mogli zabijać, to ranili ciężko, nieraz nawet śmiertelnie, broniących się za barykadami. Szczęściem można było jednak nazwać, jeżeli ranieni nie dostawali się w ręce band, które wdzierały się nawet do domów i mordowały każdego, kto im wpadł pod rękę. Ciężej ranionych uwożono więc co prędzej do kliniki uniwersyteckiej, gdzie, wskutek nawału śmiertelnie chorych, a braku sił lekarskich, większa ich część umierała.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok ilustracye, zrobione według nadesłanych nam fotografij, a przedstawiające kilka scen z dni grozy w Kijowie. Na jednej ilustracyi widać zburzoną przez chuliganów barykadę, z której jeno tramwaj przewrócony pozostał, druga przedstawia przewiezienie ciężko ranionego na barykadzie robotnika, trzecia zaś ciężko rannych i zmarłych już w klinice uniwersyteckiej.

Dyrektor Frączkiewicz.

Przed paru dniami opuścił Lwów prof. Aleksander Frączkiewicz, mianowany dyrektorem gimnazyum w Brzeżanach. Nominacyę tego wybitnego pedagoga na kierownika gimnazyum brzeżańskiego, gimnazyum o tak świetnych tradycyach, powitali wszyscy z pełnem zadowoleniem. Równocześnie jednak obudziło się w szerokich kołach Lwowa uczucie żalu, gdyż zaszczytna nominacya spowodowała wyjazd prof. Frączkiewicza ze Lwowa.

Najserdeczniej odczuły żal z powodu przeniesienia p. Frączkiewicza uczennice gimnazyum żeńskiego. P. Frączkiewicz był w tem gimnazyum od chwili jego powstania dyrektorem i swą pracą nauczycielską, swą wyrozumiałością, taktem, swą serdecznością wobec uczennic zjednał sobie nie przyjaźń, ale miłość prawdziwą. Biedactwa te, kiedy żegnały się uroczyście z ukochanym kierownikiem swego gimnazyum, popłakały się rzewnie a przemawiająca imieniem koleżanek uczennica nie mogła dokończyć swej mowy, bo łzy jej głos zatamowały.

A nie tylko wśród panienek cieszył się dyrektor Frączkiewicz taką popularnością i sympatyą. Tak samo lubieli go uczniowie gimnazyum VI., gdzie wykładał filologię klasyczną. Przedmioty te, wśród studentów przeważnie tak nielubiane, umiał p. Frączkiewicz dzięki swym talentom pedagogicznym uczynić tak zajmującymi, że jego uczniowie godziny łaciny i greki do najprzyjemniejszych zaliczali. A to chyba mówi bardzo wiele.

W stosunkach ze swymi uczniami i z ich rodzicami, oraz z kolegami był zawsze ogromnie miłym, szczerym i uczynnym. To też nieprzyjaciół nie miał zupełnie.

Gimnazyum brzeżańskie, z którego wyszło tylu dzielnych i w społeczeństwie naszem zasłużonych ludzi, zyskało w dyrektorze Frączkiewiczu kierownika niepospolitych zdolności; spodziewać się należy, że nowy dyrektor przepiękne tradycye tego gimnazyum nie tylko utrzyma, ale i przyczyni się do ich uświetnienia.

W dzisiejszym numerze podajemy portret dyrektora Frączkiewicza.



Dyrektor Frączkiewicz: Nowomianowany dyrektor gimnazyum w Brzeżanach Aleksander Frączkiewicz.

Człowiek podwójny.

Matka natura nie ze wszystkimi jednakowo się obchodzi. Na jedne swe dzieci zlewa łaski w całej pełni, dla drugich bardzo często okazuje się bezwzględną macochą, pozwalając sobie na figle, nad którymi później dosyć sobie nałamią głowy lekarze i uczeni. Wypadek, poniżej opisany, jest tego najlepszym dowodem.

Przed dwudziestu laty natura urządziła pewnemu młodemu Brazylijczykowi ciekawą niespodziankę. mianowicie obdarzyła go bliźniakami, którzy jednakowoż tworzyli właściwie jedno ciało. Obydwaj nowonarodzeni chłopcy byli ze sobą zrośnięci i to w sposób niezwykły. Jeden z nich miał głowę wewnątrz ciała drugiego, a nie można ich było rozłączyć bez narażenia obydwóch na śmierć. Tak więc bracia Jan i Jakób Libbera, jak się nazywają, rośli sobie spokojnie razem jako dwie odrębne istoty żyjące, tylko z jedną głową. Bezgłowy braciszek rozwijał się wprawdzie nie tak, jak brat,



Z dni grozy w Kijowie: Przewożenie ciężko rannych w walce z chuliganami do kliniki uniw. (Według nadesłanej nam fot.).

który miał głowę. Jest on i dzisiaj karzełkiem, przyczepionym prawie do ciała brata, ale z wyjątkiem tego, że nie ma głowy, jest zresztą bardzo dobrze zbudowany, ma własną cyrkulacyę krwi i może się poruszać. Nie jest też dla swego brata ciężarem, gdyż Jan, mający głowę, cieszy się jaknajlepszem zdrowiem, a jego potrzeby życiowe odpowiadają w zupełności potrzebom silnego mężczyzny. Ten podwójny człowiek jest mężczyzną dobrze zbudowanym, przystojnym, szpeci go tylko bezgłowy brat, który wygląda przy nim, jak wyrostek na ciele.

Oryginalny ten dziwoląg jest dzisiaj olbrzymią atrakcyą dla pewnego cyrku w Kolonii w Niemczech, obudzając powszechne zajęcie nietylko wśród żadnej sensacyi publiczności, ale i w kołach uczonych i lekarzy. Zdarzało się bowiem już nieraz, że na świat przychodził człowiek zrośnięty z drugim w ten sposób, że sam żyć nie mógł, ale też zazwyczaj ten wyrostek umierał, pociągając nieraz brata czy siostrę w grób za sobą. W tym wypadku natura zażartowała sobie w całej pełni, stwarzając podwójnego człowieka, dwa żyjące ciała z jedną głową. Jan Libbera jest też dziwotworem, o wiele bardziej ciekawym, aniżeli słynni bracia syamscy.

Zamieszczona w dzisiejszym numerze rycina przedstawia Jana Libberę wraz ze swym bezgłowym bratem, tak, jak go można oglądać w cyrku kolońskim.

Mordowanie żydów w Odessie.

Odessa, jedno z najpiękniejszych miast południowej Rosyi, było w listopadzie przez szereg dni widownią barbarzyńskich mordów i rzezi, które grozą przejęły cały świat cywilizowany. Pisaliśmy już w poprzednich numerach, że w mieście tym, jak zresztą we wszystkich prawie większych mia-



Mordowanie żydów w Odessie: Kilka rodzin żydowskich, wymordowanych przez „czarne sotnie" na dziedzińcu jednego z domów. (Według nadesłanej nam fotografii.)

stach południowej Rosyi, powstały nagle, jakby z pod ziemi wyrosłe tłumy rzezimieszków, ludzi, dla których mord i rabunek był codzienną strawą i rozpoczęły mordowanie najbardziej przez ten motłoch znienawidzonych żydów.

Rozbójnicze te bandy, zaopatrzone w żelazne drągi, noże i sztylety, po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego, nadającego całej Rosyi wolność, zrozumiały, że wolność ta zasadza się na tem, iż wolno znienawidzone żywioły rabować i mordować. Rozhulały się też te bandy, znacząc drogę swoich pochodów po ulicach Odessy krwią, ruinami zburzonych domostw i trupami. Napadały te bandy na domy żydów, wywłóczyły nieszczęśliwych na ulicę, rzucały się na nich jak sępy i rozszarpywały, siejąc popłoch i grozę naokół. Na ulicach walały ę trupy ofiar, zmasakrowane do niepoznania, kałuży krwi, która zmięszała się z błotem uliznem tak, iż całe ulice zdawały się być zalane krwią. Wściekłość tych band rozbójniczych rosła z dniem każdym, z każdą godziną; upojone krwią, te „dzieci nocy" szalały poprostu, a trudno było im stawić opór, bo mordy i rabunki odbywały się na każdej prawie ulicy. Na każdym placu hulała banda rozbójników, nie darowując nikomu, kto jej wszedł w drogę. Całe rodziny żydowskie padały ofiarą ich wściekłości. Na zamieszczonej obok ilustracyi przedstawiona jest rodzina żydowska Reikhess, którą wymordowano zupełnie, a dom Reikhessa zburzono tak, że zeń nie pozostał kamień na kamieniu. Na dziedzińcu domu pewnego żydowskiego bankiera, w którym mieszkało kilkanaście rodzin żydowskich, banda rzezimieszków urządziła formalną rzeź, tak, że żaden żyd, w tej kamienicy mieszkający, nie uszedł z życiem. Otrzymaliśmy z Odessy fotografię, zdjętą w kilka godzin po rzezi w tej kamienicy i zamieszczamy ją obok. Straszny to obraz. Na dziedzińcu, pod murami, leży kilkadziesiąt trupów, z których jednego można jeszcze rozpoznać, innych rozbójnicy wprost posiekali tak, że pozostała z nich jeno brudna, krwawa masa. Obok starców siwowłosych pławiły się we własnej krwi kobiety i małe chłopięta i niemowlęta nawet, niektóre przy piersiach matczynych zmarłe.

Trupy te zbierano potem na wozy, proste, z desek jeno zbite, szerokie wozy, służące zwykle do przewożenia towarów z portu i przewożono na cmentarz, gdzie je grzebano we wspólnych grobach, gdyż nawet czasu nie starczyło na grzebanie pomordowanych każdego z osobna.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok nadesłane nam zdjęcia fotograficznych z Odessy, między niemi również, prócz wyżej opisanych, przewożenie trupów na cmentarz żydowski.

Stuletnia staruszka.

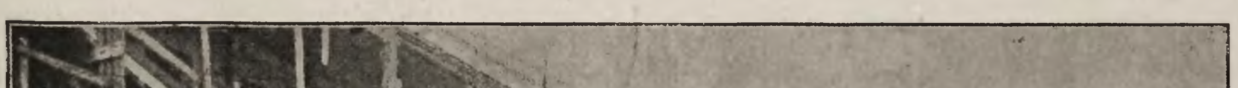
Sędziwy wiek jest dzisiaj rzadkością. Życie dzisiejsze, gorączkowe, nerwowe, pochłania wkrótce siły człowieka, rujnuje go fizycznie i powoduje smutny objaw, jaki, niestety, coraz częściej obserwować możemy, że ludzie, którzy przekroczyli lat 50, są już starcami, niezdolnymi prawie do pracy. Naturalnie nie jest to regułą, ale po większej części tak się dzieje. Ludzkość karleje coraz bardziej, jest coraz słabsza, a wskutek tego zmniejsza się również przeciętny okres życia człowieka, tak, że już dzisiaj można 50 lat uważać za przeciętne maximum życia jednostki. Wpływają na to, jak wspomnieliśmy wyżej, zmienione warunki życia, sposób odżywiania się, wyczerpująca praca umysłowa i inne czynniki, jakich nie znali nasi przodkowie, którzy, też dlatego cieszyli się znacznie dłuższem życiem, aniżeli my dzisiaj.

W lwowskim zakładzie dla ubogich znajduje się kobieta, która w ubiegłym tygodniu ukończyła 101 rok życia. Sędziwa staruszka nazywa się Justyna Borkowska. Urodziła się we Lwowie w r. 1804. Koleje jej długiego żywota są ogromnie ciekawe, tembardziej, że Borkowska przez całe życie musiała walczyć z nędzą, która tak strasznie niszczy siły człowieka, musiała krwawo pracować na chleb powszedni i to nietylko dla siebie samej, ale i dla dzieci, gdyż owdowiała w parę lat po zamążpójściu.



Mordowanie żydów w Odessie: Rodzina żyda Reikhessa, wymordowana przez „czarną sotnię". (Według fotografii).

Sama biedna wyrobnica, wyszła około roku 1832 za mąż za równieź ubogiego rzemieślnika, z którym miała czworo dzieci. W czasie rewolucyi węgierskiej w roku 1848 znalazła się na terenie wojennym i brała udział w walkach w oddziale jenerała Franciszka Schlicka, jednego z najdzielniejszych generałów austryackich, podówczas feldmarszałka. Po wojnie powróciła do rodzinnego miasta i wraz z mężem pracowała na utrzymanie dziatek. Już jej się wtedy uśmiechnęło szczęście, energiczną pracą spodziewała się zdobyć jaki taki mająteczek, któryby jej i dzieciom zapewnić mógł przyszłość, kiedy w roku 1862 nagle owdowiała. Mąż jej zajęty przy budowie pałacu w Krasiczynie spadł z rusztowania i zabił się na miejscu, pozostawiając niezaopatrzoną żonę i dziatki. Biedna kobieta, obarczona czworgiem małoletnich dzieci, musiała teraz podwoić pracę, aby módz siebie i dzieci utrzymać. Tak borykała się z nędzą aż do roku 1882, kiedy wreszcie dostała się do zakładu dla ubogich we Lwowie, który miał być dla niej miejscem wytchnienia po mozolnej tułaczce żywota. W zakładzie też, mając zapewniony dach nad głową i jakie takie pożywienie, odżyła, odzyskała nawet względny humor. Dzisiaj nawet, pomimo, że już dawno ukończyła 100 lat życia, zachowała trzeźwość umysłu, straciła tylko wzrok, gdyż widzi bardzo słabo, oraz słuch.



Mordowanie żydów w Odessie: Wywożenie trupów ofiar, pomordowanych przez „czarne sotnie", na cmentarz żydowski. (Według nadesłanej nam fotografii.)

Zamieszczona w dzisiejszym numerze ilustracya przedstawia sędziwą staruszkę w towarzystwie jej opiekunki siostry Władysławy, zakonnicy ze zgromadzenia Rodziny Maryi, które to zgromadzenie zajmuje się mniej więcej od 10 lat zarządem zakładu i opieką ubogich, ku zupełnemu tych zadowoleniu.



Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu: Tłumy, zdążające przed mieszkanie Wittego. (Według fotografii).

Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu.

Dzień 31 października b. r. będzie w historyi Rosyi dniem epokowym, dniem przełomu, granicą między Rosyą dawną, opartą na samodzierżawiu, a słonecznym świtem Rosyi odrodzonej, konstytucyjnej. W dniu tym bowiem car Mikołaj II. obwieścił poddanym swego olbrzymiego imperyum, że nadaje im wolność w całem tego słowa znaczeniu, że przypuszcza naród cały do udziału w rządach, że nadaje konstytucyę. Długo na ten dzień uroczysty czekała Rosya, a z nią świat cały, nic więc dziwnego, że kiedy w nadnewskiej stolicy ogłoszono wieczorem manifest carski, tłumy wyległy na ulice, aby pochodami uroczystymi za-



Stuletnia staruszka: Justyna Borkowska, 101 licząca staruszka, w towarzystwie swej opiekunki, siostry Władysławy.

manifestować swą radość, aby godnie uczcić ten dzień, który acz mglisty i chłodny, przyniósł im słoneczny dar: wolność.

Petersburg, który przez kilka tygodni przedtem jakby zamarł, jak gdyby przestał żyć, w oczekiwaniu czegoś niezwykłego, ożywił się nagle, jakby różdżką czarodziejską tknięty. W oknach zajaśniały od dawna niewidziane światła, z balkonów i ganków powiewały chorągwie i sztandary, a w powietrzu niemilknącem echem rozlegała się pieśń radości i tryumfu. Ulice i place zaroiły się od ludności, rozentuzyazmowanej, pełnej jakiejś nieznanej przedtem radości; uroczyste pochody snuły się po mieście wśród śpiewów i okrzyków na cześć wolności. Policya i wojsko nie zatrzymywały tłumów, aby nie zamącić uroczystego nastroju, jaki owładnął całą ludność. Wszystkie serca biły radością, wszystkie piersi podnosiły się śpiewem, jakby w te masy naraz wstąpił inny duch, jakby wchłaniały w siebie nowe jakieś, ożywcze promienie.

Tłumy przeciągały ulicami bez przeszkody. Tu i ówdzie spotykano wprawdzie uzbrojone oddziały wojska, ale oficerowie najspokojniej rozmawiali z przywódcami tłumów, jak to widać na zamieszczonej obok rycinie, wojsko usuwało się, a tłumy szły dalej, manifestując swoją radość i zwycięstwo wolności.

Przed mieszkaniem Wittego, którego wpływom w znacznej części należało przypisać nadanie konstytucyi, zebrały się również tłumy, aby uczcić twórcę pokoju. Entuzyazm powszechny ogarnął całe miasto, które jedna godzina, ukazanie się manifestu konstytucyjnego, nagle ożywiła z martwoty i jakby wskrzesiła do nowego życia.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok fotografie, przedstawiające pochód uroczysty w Petersburgu w chwili, kiedy przywódcy porozumiewają się z oficerami na jednej z głównych ulic nadnewskiej stolicy, oraz pochód tłumów, zdążających przed mieszkanie Wittego.

Srebrne gody pp. Jonaszów.

„Srebrne wesele powinno się właściwie nazywać żelaznem, tyle żelaznych sił, tyle zdrowia żelaznego potrzeba, aby przez dwadzieścia pięć lat wytrzymać w jarzmie małżeńskiem“ — powiedział, p. Jonasz jednemu z licznych swych przyjaciół gdy mu ten składał życzenia z powodu „doczekania“ tej radosnej rocznicy. – Proszę jednak nie myśleć, że p. Jonasz powiedział to seryo. Z pewnością nie! Był to tylko jeden z niezliczonych dowcipów, którymi p. Jonasz sypie przy każdej sposobności jak z rękawa. Że nie było tak źle p. Jonaszowi przez te dwadzieścia pięć lat „niewoli“ małżeńskiej, widać z całej jego postawy, z czerstwego i zdrowiem tryskającego oblicza, widać z humoru, który go nigdy nie opuszcza — mimo 57 lat życia, które ma za sobą. Ta czerstwość p. Jonasza zdumiewa tem bardziej, że człowiek ten od długiego lat szeregu ogromną większość swych sił intelektualnych i czasu swego publicznej poświęca pracy. pracy — jak powszechnie wiadomo — ogromnie wyczerpującej i niszczącej zdrowie.

P. Maurycy Jonasz, pochodzący z rodziny od lat z górą 400 zamieszkałej we Lwowie, urodził się tam w roku 1848, w tym pamiętnym w dziejach tego miasta roku bombardacyi. Ukończywszy szkoły



Srebrne gody pp. Jonaszów: Maurycy Jonasz, właściciel domu bankowego we Lwowie.

średnie i akademię handlową w Wiedniu, wstąpił do lwowskiego banku hipotecznego, a po kilkunastu latach pracy w tej instytucyi założył przed laty ośmnastu własny dom bankowy, który obecnie należy do pierwszorzędnych we Lwowie. Równocześnie rozpoczął działalność publiczną, a rozpoczął ją w radzie miejskiej Lwowa, gdzie od razu wybił się na czoło wśród szeregów „ojców“ miasta. Pracuje zawsze bardzo gorliwie w sekcyach i komisyach, na pełnej radzie zabiera głos w każdej ważniejszej sprawie — a mówi z wielką swadą i bardzo rozsądnie — słowem należy do najpożyteczniejszych członków reprezentacyi miejskiej. Jest p. Jonasz dalej członkiem lwowskiej Izby handlowo-przemysłowej — członkiem zboru izraelickiego itd.

(Dalszy ciąg na stronie 12).



Po ogłoszeniu manifestu konstytucyjnego w Petersburgu: Oficerowie oddziału kozaków porozumiewają się z przywódcami pochodu na jednej z głównych ulic Petersburga po ogłoszeniu konstytucyi. (Według fotografii).

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

10 (Ciąg dalszy).

Przerażony i wzruszony do głębi siedział proboszcz, nie zdolny słowa wymówić.

— Hrabia zmusił mnie potem do tego, że przysiągłem mu milczenie. Wprawdzie przysięgę tę słyszał jeno sam Bóg, ale wyryła mi się ona w duszy palącym znakiem, dręczyła mnie zawsze, ilekroć dusza moja chciała się zwrócić na drogę pokuty.

Nieszczęśliwy ukrył twarz w dłoniach, a głębokie łkanie wstrząsało całem jego ciałem. Po chwili dopiero zaczął mówić drżącym od łez głosem:

— Przeszedłem całe piekło mąk i nieraz zdawało mi się, kiedym w zabawach i przyjemnościach szukał ukojenia i zapomnienia, że nagle wołał mnie jakiś głos, który mi się zdawał być głosem rządcy Bernere, ściętego na szafocie.

— To był głos twego sumienia, wzywający cię do pokuty — wtrącił poważnie kapłan.

— Tak jest; moje to sumienie nie dało mi spokoju ani we dnie ani w nocy; sumienie to wypędziło mnie wreszcie na to odludzie.

— I znalazłeś tu upragniony spokój?

— Gdzie tam! Przyniosłem przecie ze sobą serce, obładowane winą, i ażeby uciec przed wyrzutami sumienia, uciekłem się wreszcie do stryczka.

— Dojrzały owoc zwątpienia! — zauważył kapłan.

Nieszczęśliwy opowiedział teraz, jak się powiesił i w jaki sposób został uratowany.

— Tej więc kobiecie — kończył — mam do zawdzięczenia, że nie poszedłem do piekła i ona jest godną nagrody, jaką jej przeznaczyłem.

Oświadczył teraz duchownemu, że powziął stanowczy zamiar poślubienia pani Renault, ażeby w ten sposób uczynić ją swoją spadkobierczynią.

— A ja mam dopełnić aktu ślubnego? — zapytał ksiądz.

— Tak jest. Chciałem księdza proboszcza o to prosić.

Proboszcz zamyślił się chwilę.

— Według prawa nic nie stoi na przeszkodzie — rzekł wreszcie — bo ustawa powiada, że w pewnych szczególnych wypadkach, jak naprzykład tutaj, na łożu śmierci, narzeczeni zwolnieni są od wszelkich wymagań i formalności, jakimby musieli zadość uczynić.

— O tem wiem — zauważył Hohlfeld.

— Muszę panu jednakże zwrócić uwagę, że małżeństwo pana z panią Renault po pańskiej śmierci władze dopiero wtedy uznają za ważne, jeżeli później będzie im można dostarczyć wszystkich świadectw i papierów.

Chory zwrócił zakłopotany wzrok na duchownego.

— Wobec tego nie uznanoby małżeństwa, gdyby jedna z biorących ślub osób miała fałszywe nazwisko?

— Naturalnie! Metryki chrztu przedewszystkiem muszą być prawdziwe.

— Muszę więc księdzu proboszczowi wyznać, że swego czasu zmieniłem nazwisko. Hohlfeld — to mój pseudonim.

— Żeś pan tak zrobił, to rzecz zupełnie zrozumiała; sądzę jednak, że przecie możesz pan teraz wymienić prawdziwe nazwisko.

— Tak, ale jeśli ja zmienię nazwisko, to fakt ten może w mej narzeczonej obudzić podejrzenie...

— Które łatwo usunąć — przerwał mu ksiądz. — Ma pan może tutaj papiery, stwierdzające pańskie prawdziwe nazwisko?

Chory wskazał ręką półkę, przymocowaną do jednej z belek sufitu.

— Tam jest skrzyneczka, w której je przechowuję.

Ksiądz zdjął skrzyneczkę i wyciągnął papiery.

— Pan więc zowie się Karol Pommon — rzekł, przeglądając papiery. — Możesz pan zawrzeć ślub, ale tylko pod prawdziwem nazwiskiem.

— Jeśli inaczej być nie może, to niech tak będzie.

— I jeszcze jedno: przed ślubem musisz pan zrobić pewnego rodzaju testament, ostatnią swoją wolę, z wyraźnem zaznaczeniem, że po pańskiej śmierci spadkobierczynią całego majątku pańskiego będzie pańska żona.

— Tego właśnie pragnę.

— W takim razie testament napiszę sam, a pan się na nim podpisze.

— A czy taki testament, bez notaryusza, będzie wobec prawa ważny?

— W każdym razie. Ostatnia wola, byle jeno jeszcze podczas przytomności chorego i w obecności jakiego świadka zrobiona, jest ważną wobec ustawy.

Proboszcz udał się do przyległej izdebki, przyniósł papier, atrament i pióro i w przeciągu kwadransa napisał ostatnie rozporządzenie, testament Karola Pommon'a; pozostawił tylko miejsce na wpisanie nazwiska żony, gdyż musiał podać jej nazwisko rodzinne. Następnie zawołał panią Bernere i oznajmił jej zamiar chorego.

O ile opowiadanie chorego z początku ogromnie ją wzburzyło, tak, że sądziła, iż on jest sprawcą nieszczęścia jej samej i jej męża, o tyle uspokoiła się prędko, gdy usłyszała jego pełne nazwisko.

Bogaty kapitalista, Fryderyk Hohlfeld, nie mógł być przecie tym nędznikiem, który przez morderstwo i krzywoprzysięstwo ściągnął na siebie klątwę nieba i z pewnością już dawno gdzie marnie zginął.

To też weszła do pokoju już zupełnie spokojna. Chory, z powodu przejść w ostatnich godzinach ogromnie osłabiony, leżał apatycznie na łóżku, podczas gdy proboszcz wraz z panią Bernere uzupełniali testament. Nie słyszał nawet, jak jego przyszła żona wymieniła swe nazwisko po mężu, gdy jej ksiądz powiedział, że inaczej ślubu zawrzeć nie może.

Wreszcie, po załatwieniu formalności, nadeszła najważniejsza chwila, ślub.

Chory, pokrzepiony orzeźwiającym napojem, usiadł na łóżku, a proboszcz ozwał się doń, że nadeszła chwila jego ślubu z kobietą, której wprawdzie może nie kocha, ale którą sobie sam z własnej woli wybrał na małżonkę. Potem połączył ręce obojga i przemówił w krótkich ale pełnych siły słowach, wreszcie rozpoczął stereotypowe:

— Karolu Pommon, masz wolną...

Ale nie mógł mówić dalej. Kobieta z głośnym krzykiem odskoczyła od łóżka, padła na ławkę, a głuche łkanie wstrząsnęło jej piersi.

Więc to jednak był on, ten demon złego, którego obraz stał jej ciągle przed oczyma, gdy siedziała w kryminale; więc to jednak był on, Karol Pommon, nędznik bez sumienia, który przez fałszywą przysięgę męża jej, tak gorąco przez nią ukochanego, oddał w ręce kata, a ją samą wtrącił niewinnie do więzienia

I tego człowieka ona odcięła od stryczka, uratowała od mąk piekielnych, tego, który jej zniszczył całe szczęście i życie piekłem uczynił.

W mózgu jej przesuwały się z błyskawiczną szybkością najdziksze myśli. Była bliską obłędu.

Proboszcz, z początku przerażony, podszedł wreszcie ku siedzącej i położywszy jej rękę na ramieniu, rzekł:

— Na Boga, pani Bernere...

— Pani Bernere! — krzyknął chory przeraźliwym głosem. Głos ten obudził ją z odrętwienia. Wstała szybko i podeszła do łóżka chorego. Wpatrzyła się weń wzrokiem, który, zdało się, dotarł do najtajniejszych głębin jego duszy.

— Tak, ja jestem Teresa Bernere! — zawołała drżącym od bólu głosem. — Popatrz na mnie, nędzniku! Nie poznajesz-że mnie? Ja to jestem, któraś, nieszczęsny, wydarł mężowi i dzieciom.

Zdawało się, że chce mówić dalej, ale z ust jej wychodziły jeno niezrozumiałe dźwięki.

Potem nastąpiła długa chwila ciszy.

Nagle chory wyciągnął ku stojącej przy nim kobiecie obie ręce i z ust jego wyszły słowa:

— Przebacz mi, o, przebacz!

— Bóg ci może przebaczyć — ale ja — nie!

Odwróciła się odeń, kierując swe kroki ku wyjściu. Ale proboszcz zastąpił jej drogę, mówiąc:

— Czy nie zechce mi pani poświęcić chwilki czasu? Chciałbym z panią parę słów zamienić.

Stanęła, a ksiądz mówił dalej:

— Człowiek ten, który leży już na łożu śmiertelnym, wyrządził pani straszną krzywdę. Przyznaję. Ale też jako duchowny muszę pani powiedzieć, że on miał prawo liczyć na to, iż mu pani przebaczysz.

— Ksiądz proboszcz nie zna mojego nieszczęścia — odparła — i dlatego nie wie, co ja przezeń wycierpieć musiałam.

Proboszcz wziął ją za rękę.

— Nie znam twoich bólów, dobra kobieto, ale znam drogę krzyżową tego, który jest naszym odkupicielem i zbawcą — rzekł drżącym od wzruszenia głosem. — A on, Bóg, którego całe życie i działalność była jedynie czynieniem dobrego i łaską, on, na drzewie krzyża przybity, nietylko, że przebaczył swoim mordercom, ale w ostatniej godzinie modlił się za nimi do Ojca, wołając: „Panie, przebacz im, bo nie wiedzą, co czynią“. Czyż człowiek, który przecie jest grzesznikiem, nie może, nie powinien pójść za tym boskim przykładem i przebaczyć tym, którzy mu krzywdę uczynili? Wszak codzień mówimy w pacierzu: „I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“.

Słowa te nie przeszły bez wrażenia. Pani Bernere powróciła ku choremu, ale widać było, ile ją to zaparcia się siebie kosztowało. Ujęła prawicę chorego w obie ręce i rzekła wśród łez:

— Przebaczam! Oby ci Bóg przebaczył!

Odwróciła się i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

XIII.

W ręku sprawiedliwości.

Hrabia Jan Mironeau powrócił z Paryża. Nieobecności jego przez kilka dni w pałacu nie zauważono i tylko hrabianka Wilma żałowała, że go nie było przy niej.

Hrabia Jan był bowiem pięknym, dorodnym, w całem tego słowa znaczeniu przystojnym mężczyzną; nic dziwnego, że młoda, ośmnastoletnia hrabianka pokochała go całą siłą pierwszej dziewiczej miłości.

Faktem było, że miłość jej nie była ani razu jeszcze wystawioną na próbę; nie znała ani zazdrości, ani tego uczucia osamotnienia, jakie musi wywołać w młodem sercu dziewczyny strata, choćby na chwilę, swojego ukochanego. Wilma przyzwyczaiła się od dziecka widzieć w kuzynie swoim towarzysza zabaw i najlepszego przyjaciela. To uczucie siostrzanej miłości rozwijało się z latami i przemieniło wkrótce w miłość inną, miłość kobiety dla mężczyzny. Hrabia Jan, którego przedtem kochała jak brata, był teraz dla jej dziewiczego serca jako jej przyszły mąż stokroć droższy. Nie myślała zaś ani na chwilę, aby jej jakaś inna kobieta mogła wejść w drogę. Była tego tak pewną, że nie zauważyła nawet, iż zachowanie się Jana wobec niej znacznie od pewnego czasu oziębło. Nosił on wtedy mundur oficera, sądziła więc, że odpowiednio do swego stanu, musi być również poważniejszym. Nie przypuszczała nawet, że Jan mógł pokochać inną, ba, że już może nawet o niej nie myśli. To też teraz, w czasie jego kilkodniowej nieobecności poznała dopiero, jak on bardzo jest dla niej drogi. Zaledwie więc na dziedzińcu rozległ się turkot powozu, wybiegła naprzeciw niemu, a on ją czule przycisnął do piersi.

— Cóż robi ojciec? — zapytał Jan jeszcze na schodach.

— Wyjechał. Opuścił nas prawie zaraz po tobie.

— Dokądże wyjechał?

— Prawdopodobnie do Paryża — odrzekła, dodając z uśmiechem: — Mówił, iż musi odszukać uciekinierów.

— Uciekinierów, powiadasz?

— Tak; bo i panna Laura gdzieś znikła w drugą noc po twoim odjeździe.

— Przypuszczam, że wkrótce tu znowu powróci — odparł Jan z uśmiechem.

Wilma potrząsła głową z niechęcią.

— Kochałam ją bardzo, ale teraz jużbym jej nie potrafiła kochać.

— Tak? Dlaczegóż to?

— Uciekając z pałacu dała dowód, że nie jest dobrze wychowana.

Hrabia udał się teraz do swoich apartamentów. Zamknął się w swoim gabinecie i postanowił już nie wychodzić tego dnia; kolacyę kazał sobie przynieść do siebie. Cały czas spędził przy biurku, pisząc i rachując. Czasem rzucał pióro, podchodził do okna i patrzył w siną, mgłami wieczoru osłoniętą dal.

— Co to za uroczy zakątek, w którem nasi przodkowie przez tyle wieków żyli szczęśliwie. A ja, ostatni z rodu Mironeau, muszę stąd odejść jeno z kijem w ręku, aby tu nigdy nie wrócić.

Ciężkie, głębokie westchnienie wydarło mu się z piersi.

Tak minęło parę godzin. Koło jedenastej uporządkował papiery i miał się już położyć spać, gdy wtem ktoś zapukał do drzwi.

— Kto tam? — zapytał.

— Ja, jaśnie panie — Jan.

Otworzył drzwi. Do pokoju wszedł służący jego ojca.

— No, cóż masz za interes do mnie, o tej porze?

— Chciałem panu hrabiemu coś powiedzieć.

— Cóż takiego?

Ziewając, usiadł hrabia na krześle i założył nogę na nogę. Jan począł chrząkać, wreszcie rzekł:

— Chodzi tu o tajemnicę pana starszego.

— Oj, cóż to za tajemnica?

— W piwnicach tego zamku więzi pan hrabia jakiegoś człowieka i to od wielu, wielu lat.

Hrabia słuchał z natężoną uwagą.

— Bajesz, Janie. Któżby mógł być tym więźniem?

— Dokładnie nie wiem, ale zdaje mi się, że to jest kobieta, którą jaśnie pan starszy trzyma w więzieniu; opiekuje się nią panna Ernestyna.

Hrabia zerwał się, chwycił biednego kamerdynera i krzyknął:

— Słuchaj, człowiecze, jeśliby te podejrzenia okazały się bezpodstawnemi, wówczas biada ci!

— Powiedziałem prawdę, a pan hrabia może się o tem osobiście przekonać.

— Rzeczywiście, Janie?!

Puścił kamerdynera i usiadł znowu na krześle. W umyśle jego odżyło jakieś wspomnienie z lat dawnych. Jako kilkunastoletni chłopak zbłądził raz w lesie i przyszedł do zamku bardzo późno, już po północy. Wtedy ujrzał, że w jednej z piwnic błyska jakieś światełko. Zaciekawiony, coby to było, ukląkł na ziemi i usłyszał jakieś głuche jęki, rozlegające się po piwnicy. Na drugi dzień opowiedział o tem ojcu, który zbladł w tej chwili, ale zaraz się opamiętał i zagroził mu, że dostanie porządną nauczkę jeśliby choć słówkiem wspomniał kiedy jeszcze o tej „głupiej bajce“.

— Nie mogę przecież pozwolić na to — mówił mu wtedy ojciec — ażeby z powodu twoich zwidzeń ludność okoliczna uważała mój zamek za jakieś schronisko widziadeł, duchów i straszydeł.

I stary hrabia uspokoił się dopiero wtedy, kiedy mu Jan uroczyście przyrzekł, że nikomu ani słowa nie wspomni. Stosownie do tego przyrzeczenia, Jan przestał też o tem myśleć i wkrótce o wszystkiem zapomniał. Doniesienie kamerdynera przypomniało mu dopiero tę historyę ze wszystkiemi szczegółami. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze ten ludzki głos, te narzekania i jęki, jakie onej nocy usłyszał.

— W jakiż sposób dowiedziałeś się o tej tajemnicy? — zapytał wreszcie kamerdynera, siląc się na spokój.

— Wróciłem raz do pałacu późno w nocy. Wszystkie drzwi były zamknięte, tylko w lewem skrzydle zamku ujrzałem jedno okno otwarte. Przelazłem przez nie i tylnemi schodami wyszedłem do tej części pałacu, w której nikt nie mieszka. Właśnie przechodziłem przez główny kurytarz, kiedy nagle z prawej strony błysło jakieś światełko. Ukryłem się w niszy i zobaczyłem krótce, jak koło mnie przeszła panna Ernestyna. W jednej ręce miała ślepą latarkę, w drugiej koszyczek, nakryty serwetą. Z ciekawości poszedłem cichutko za nią aż ku drzwiom, które ona zapomocą klucza otworzyła i znikła za niemi. Po kilku sekundach poszedłem za nią, ale drzwi były zamknięte.

— W każdym razie jestto ciekawa historya — przerwał mu hrabia — jednak nie upoważnia cię ona jeszcze, aby do nocnych wycieczek panny Ernestyny przywiązywać takie znaczenie, jak ty to zrobiłeś.

— Nie, jaśnie panie. Ja śledziłem ją kilka razy, bo zawsze szła tąsamą drogą. Pewnego razu jednak nie zamknęła za sobą drzwi, tak, że mogłem się za nią wcisnąć i stanąłem na schodach, prowadzących w głąb.

— No, i cóż tam znalazłeś?

— Doszedłem za nią do drugich drzwi, których ona już zamknąć nie zapomniała. Nie mogłem więc nic widzieć, ale słyszałem rozmowę, która mi kazała przypuszczać, że jest tak, jak jaśnie panu mówiłem.

— Jak to dawno było?

— Mniej więcej przed sześciu tygodniami. Od tego czasu więcej jej już nie śledziłem.

— Czy mówiłeś już komu, jakie masz podejrzenia?

— Nie, jaśnie panie.

— Czemużeś milczał tak długo?

Jan wzruszył ramionami.

— Powiedziałem sobie, że moja niedyskrecya może mnie narazić na utratę miejsca.

— A cóż cię skłoniło do tego, aby mnie o tem wszystkiem uwiadomić?

— Jaśnie pan hrabia starszy kazał mojemu ojcu wynieść się z leśniczówki, wyrzucił go ze służby, a przecie służył mu wiernie przez tyle lat. Postanowiłem więc, bez względu na niebezpieczeństwo, opowiedzieć tę tajemnicę jaśnie panu.

— Toś dobrze zrobił — rzekł hrabia z żywością — i jeżeli się przekonam, że to, coś mi powiedział, jest prawdą, to nie będziesz żałował swojej wobec mnie niedyskrecyi.

Spojrzał na zegar.

— Minęła właśnie jedenasta. Jak sądzisz, czy możnaby się odrazu wybrać za panną Ernestyną?

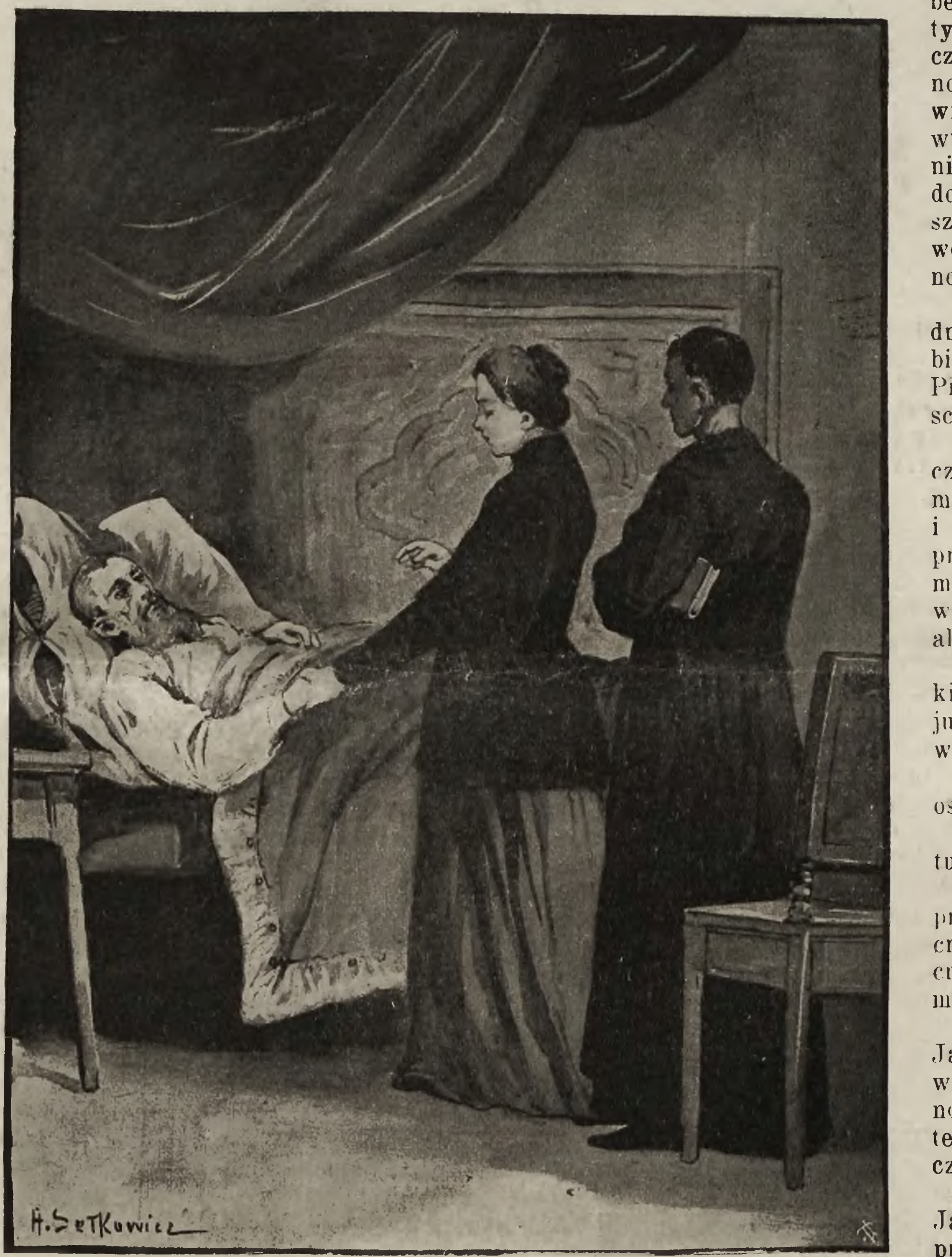
— Musimy jeszcze chwilę poczekać, bo nie widziałem jej nigdy przed dwunastą.

— Lepiej chwilę zaczekać, aniżeli przyjść zapóźno.

Hrabia udał się do przyległego pokoju i wyszedł po chwili przebrany, w kapeluszu i z laską.

— No, chodźmy.

Obydwaj wyszli z pokoju. Doszli do niszy, o której mówił kamerdyner i stanęli na czatach. Czekali już dobre pół godziny, gdy usłyszeli wreszcie ciche kroki, a po chwili przesunęła się przed ich oczyma kobieta, oświetlona mdłem światłem ślepej latarki. Obydwaj odetchnęli i ostrożnie, na palcach, posunęli się za nią. Była to Ernestyna. Stała właśnie przed drzwiami, wiodącemi do schodów



...Ujęła prawicę chorego i rzekła wśród łez: „Przebaczam ci! Oby ci Bóg przebaczył!“.

i odmykała je. Jeszcze się z tem nie załatwiła, kiedy hrabia nagle ku niej przyskoczył i chwycił z wściekłością za ramiona.

— Kobieto, dokąd to idziesz?! — zagrzmiał jej nad uszami.

Ernestyna patrzyła nań przerażona.

— A teraz, naprzód, prowadź mnie do swej ofiary, nędznico!

Próbowała wyrwać się z silnych ramion hrabiego, usiłowała jako reprezentantka domu stawić opór „młodemu panu“, ale nie potrafiła nawet mówić do rzeczy, poczęła jeno coś bełkotać, gdy hrabia wyciągnął rewolwer i skierował go ku jej piersi.

— Przeklęta gadzino! — zawołał — długo służyłaś za narzędzie w ręku łotra; teraz karząca Nemezis zaczęła tu panowanie i jeżeli w tej chwili mnie nie usłuchasz, to ci roztrzaskam ten łeb potworny!

To przełamało opór grubej megery. Nie opierając się więc, nie mówiąc ani słowa, otworzyła drzwi i szła z latarką naprzód.

W kwadrans może później na schodach ukazały się cztery osoby. Mianowicie hrabia prowadził pod rękę wychudłą kobietę, której białe jak śnieg włosy, głęboko zapadłe oczy i popielata prawie barwa twarzy wskazywały przecierpiane bóle długoletniego więzienia. I gdyby tam była pokojówka Klara, byłaby w niej rozpoznała owego upiora, z którym spotkanie stało się przyczyną jej nieszczęścia.

Powoli posuwała się ta mała grupka ludzi po długich, cichych kurytarzach pałacu, zdążając do apartamentów hrabiego Jana. Ernestyna i kamerdyner mieli jeszcze dużo bieganiny, wypełniając rozkazy młodego pana, przychodzili i odchodzili, przynosili wodę, odzienie, potrawy i rozmaite środki pokrzepiające, których w pałacu było podostatkiem. Już prawie dnieć zaczynało, kiedy nareszcie hrabia rozkazał im odejść, napominając, by o tem, co się tej nocy stało, nikomu nic nie mówili; równocześnie oznajmił im hrabia, że odtąd będą oboje wyłącznie na usługi uwolnionej z więzienia. Następnie, zamknąwszy starannie drzwi, udał się do przyległego pokoju na spoczynek.

* * *

Upłynęło dwa dni. O obecności obcej jakiej istoty, którą się w nadzwyczajny sposób opiekowano, w zamku nikt nie wiedział. Bo też po za wtajemniczonymi nikomu nie wolno było wchodzić do pokojów, które zamieszkiwała teraz była niewolnica hrabiego Mironeau.

Wieczorem drugiego dnia powrócił stary hrabia Mironeau z podróży. Pierwszy przywitał, go na schodach jeszcze, syn.

— Pójdź ze mną, ojcze! — rzekł, zanim tenże miał czas zdjąć kapelusz i płaszcz. Jednakowoż, przeczuwając, że syn ma mu coś ważnego do powiedzenia, nie opierał się, ale poszedł za nim.

— Cóż się stało takiego? — zapytał, kiedy już obydwaj znaleźli się w pokojach hrabiego Jana.

— Nic! — odparł Jan oschle.

— Więc pocóż mnie tu prowadziłeś?

— Chciałem ci tylko przedstawić miłego, zacnego gościa, którego obecność napewne cię ogromnie ucieszy.

— Zaciekawiasz mnie, Janie! — zawołał hrabia wesoło. — Pospiesz się jeno z przedstawieniem mi tej osoby, bo jestem zmęczony podróżą.

— Pójdź! — ozwał się Jan i odsunął portyery, prosząc ojca do małego, bardzo jasno oświetlonego saloniku. Kiedy weszli, podniosła się ze sofy starannie ubrana staruszka i wpiła swój wzrok w starego hrabiego, który się do niej zbliżył na odległość trzech kroków może. Hrabia Jan pobiegł szybko ku niej i wziąwszy jej rękę, ozwał się z wymuszoną jowialnością:

— Przedstawiam ci, mój ojcze, twoją kochaną bratową, hrabinę Maryę Mironeau.

Próżnobyśmy się starali odmalować wrażenie, jakie te słowa wywarły na starego hrabiego. Jak gdyby piorun przed nim przeleciał, stanął ten siwy zbrodniarz, blady, bez ruchu, jak słup. Oczy mu zagasły, tylko wargi drżały nerwowo, nie mogąc wydać ani jednego dźwięku ze ściśniętego wściekłością gardła.

— Nuże, podajże przecie kochanej bratowej rękę na przywitanie! — zawołał Jan, wybuchając nem szyderczym śmiechem.

— Chłopcze! — wrzasnął ojciec. — Jesteś szatanem i bądź przeklęty na wieki!

Jan chwycił go silnemi rękoma za ramiona.

(Dokończenie nastąpi).



Zamach anarchistyczny w Pekinie: Sprawca wybuchu bomby w wagonie, zabity siłą wybuchu.

Wogóle nie uchyla się p. Jonasz nigdy i nigdzie od pracy obywatelskiej, choć ona zawsze więcej cierni, niż rozkoszy przynosi. Cieszy się też z tego powodu w całym Lwowie ogólną i szczerą sympatyą i popularnością.

Ożeniony z panią Salomeą z Lindenbaumów, współwłaścicielką dóbr Borysław i innych w powiecie drohobyckim, jest ojcem dwóch dorosłych już synów i dorodnej córki.

W dniu, w którym pp. Jonaszowie obchodzili dwudziestopięciolecie swego ślubu, zjawiła się już rano kapela izrael. zakładu sierót pod mieszkaniem jubilatów i odegrała odpowiednie utwory, deputacya zaś zakładu złożyła im życzenia. A dalej w ciągu dnia przybyli z gratulacyami radni miejscy z prezydentem i wiceprezydentami na czele, członkowie Izby handlowej i przemysłowej, oraz zboru izraelickiego, cenzorowie banku austro-węgierskiego i mnóstwo przyjaciół pp. Jonaszów. Jak ogólną sympatyą cieszą się jubilaci, dowodzi liczba depesz w dniu owym im z życzeniami doręczonych, a przekraczająca ośmset.

Do tych życzeń dołączamy i my nasze serdeczne „ad multos annos“.

W numerze dzisiejszym podajemy portret jubilata p. Maurycego Jonasza.

Zamach anarchistyczny w Pekinie.

Olbrzymie „państwo środka“, jak Chińczycy nazywają swój kraj, pogrążone jest dzisiaj jeszcze w ciemnocie rzeczywiście azyatyckiej. Rzecz to ogromnie charakterystyczna, bo wiadomo powszechnie, że właśnie Chiny były kolebką kultury europejskiej, ale podczas, gdy Europa szła ciągle naprzód, Chiny pozostały na tym samym stopniu, na jakim stały dwa tysiące lat temu. Dopiero w ostatnich latach objawił się tam silny prąd, aby się otrząść z pleśni i zdobycze kultury europejskiej sobie przyswoić. Prąd ten wyszedł prawdopodobnie z Japonii, która w przeciągu paru dziesiątków lat zdołała na każdem polu dorównać Europie, co okazała dowodnie w wojnie z Rosyą. Rząd chiński, przekonany, że najlepiej będzie, jeżeli się teraz młodych ludzi wysyłać będzie do Europy na studya i tym ludziom potem, wykształconym w Europie, powierzy się odrodzenie Chin, postanowił na własny koszt wysłać w roku bieżącym przeszło 100 młodzieńców do Paryża.

Jednak, jak zwykle w takich razach, przeciw usiłowaniom jednostek stają wpoprzek ciemne, nie zdające sobie sprawy z doniosłości nowych idei masy, które wszystkich postępowych obywateli uważają za swoich wrogów. I w Chinach więc naprzeciw partyi, dążącej do odrodzenia Chin, stanęły tłumy ludu, podjudzone przez buddyjskich kapłanów, którzy Europę uważają za siedzibę dyabłów, za piekło spółczesne. Partya ta, licząca miliony zwolenników, paraliżuje więc w niemałym stopniu usiłowania postępowych Chińczyków, dopuszczając się nawet zbrodni, czego dowodem poniżej skreślona historya.

Jak wspomnieliśmy wyżej, rząd chiński wysłał z końcem sierpnia przeszło 100 młodzieńców chińskich do Europy. W Pekinie wsiedli oni na specyalny pociąg, mający ich odwieźć do Tientsinu, na dworcu pekińskim zebrało się mnóstwo inteligencyi tak chińskiej, jak i zamieszkałych w Pekinie Europejczyków, którzy żegnali uroczyście odjeżdżających, życząc im pomyślności w naukach. Zaledwie jednak pociąg ruszył, rozległ się na dworcu olbrzymi huk, jakby nagle sto armat ryknęło, równocześnie dobiegł uszu zgromadzonych jęk ludzi, a nawet wśród zgromadzonych ozwały się krzyki i jęki. Okazało się, że w pociągu, który miał odwieźć młodzież, znajdował się także fanatyczny młodzieniec, nienawidzący Europy i jej kultury, który podjudzony przez fanatyków ciemnoty, rzucił bombę w pociągu, chcąc sam zginąć, ale równocześnie zgładzić nienawistną młodzież. Nie udało mu się to jednak w zupełności. Pierwszą ofiarą wybuchu bomby był on sam, ciało jego zostało literalnie poszarpane w kawałki. Wybuch był jednak za słaby, aby mógł za sobą pociągnąć katastrofę. Tylko wagon, w którym bomba eksplodowała, został zniszczony, boczną jego ścianę wybuch rozerwał, a odłamki zabiły czterech studentów, znajdujących się w tym właśnie wagonie oraz raniły 23 osób na peronie. Nie udał się więc zbrodniczy zamach fanatyków chińskich, gdyż młodzi studenci odjechali w godzinę później bez przeszkody.

W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok ilustracye, przedstawiające widok zniszczonego wybuchem bomby wagonu, oraz zwłoki fanatyka, który rzucił bombę i padł pierwszy ofiarą wybuchu.



Zamach anarchistyczny w Pekinie: Widok wagonu, w którym wybuchła bomba.

Jubileusz kapłana.

W całej Galicyi ogólnie znaną i szczerą czcią otaczaną jest postać ks. prałata Stanisława Gromnickiego, proboszcza parafii w Buczaczu. Popularność tę swoją zdobył sobie ks. prałat Gromnicki prześlicznemi kazaniami, których w ostatnich latach cały szereg wygłosił w wielu miastach Galicyi wschodniej w czasie wieców i uroczystości narodowych, cześć zaś słodyczą i szlachetnością charakteru, szczerem oddaniem wszystkich swych sił oraz majątku własnego na rzecz funduszów budowy kościołów i kaplic na kresach wschodnich.



Jubileusz kapłana: Ks. prałat Stanisław Gromnicki.

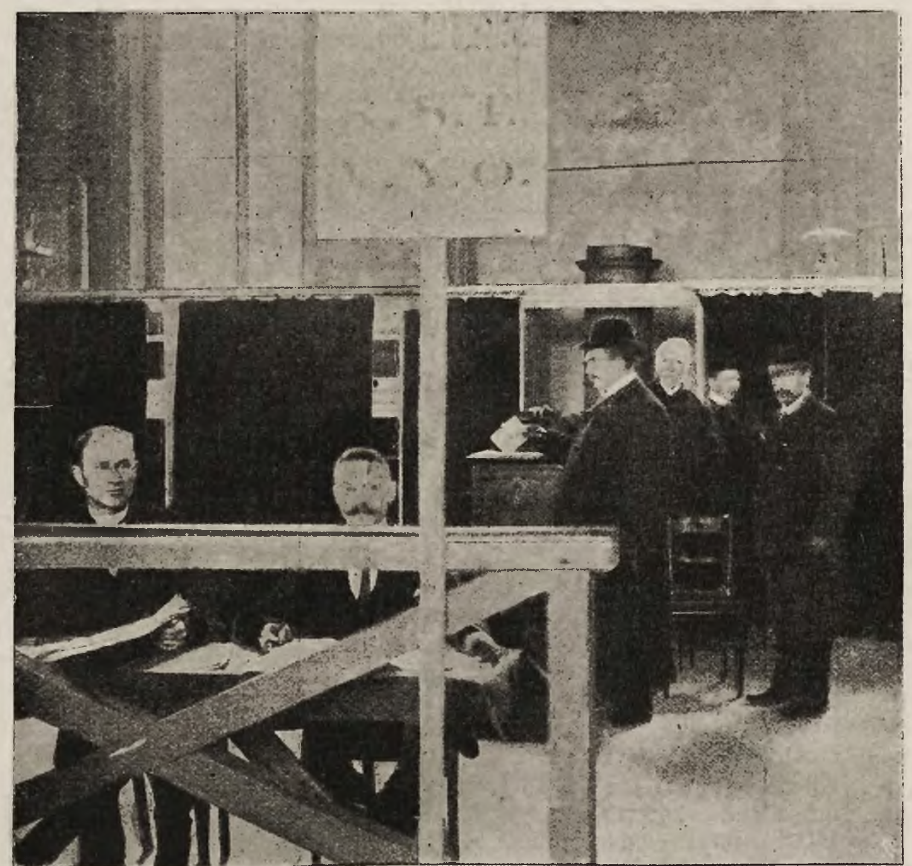
Szlachetny ten kapłan-patryota święcił w połowie listopada dwudziestą piątą rocznicę chwili, w której objął probostwo buczackie. A choć z powodu choroby jubilata rocznica przeszła bez silniejszego odgłosu, przecież setki telegramów gratulacyjnych z całego kraju oraz hojne datki na budowę domu ubogich, zaprojektowanego przez ks. Gromnickiego, były wyrazem i dowodem czci i uznania dla zacnego jubilata.

Ks. Stanisław Gromnicki urodził się w r. 1843 w Skale nad Zbruczem. Do szkół uczęszczał w Buczaczu i Lwowie, gdzie też w r. 1866 otrzymał święcenia kapłańskie. W r. 1880 mianowany został proboszczem w Buczaczu i na stanowisku tem po dziś dzień pracuje.

A pracę jego zawsze i stale cechuje podniosłe uczucie religijne i gorąca miłość Ojczyzny. Ks. Gromnicki pierwszy poruszył przed laty kilkunastu sprawę budowy kościołów i kaplic w Galicyi wschodniej celem ratowania ludności polskiej, na kresach zamieszkałej, przed rutenizacyą. Gorącą odezwą „Ratujmy milion!“ wezwał naród nasz, by ratując lud, dla sprawy polskiej obojętny, pozbawiony z winy naszej poczucia narodowego, przystąpił do budowy gmachu narodowego. „Podnieść ten milion — czytamy we wspomnianej odezwie — oświecić go, rozbudzić w nim poczucie religijne i narodowe to nasz wielki, święty, patryotyczny



Zwolennik partyi republikańskiej, rozdający wyborcom kartki za republiką.



Przy urnie wyborczej.
Wybór króla w Norwegii.



Statek pocztowy, sygnalizujący, że większość narodu oświadczyła się za królem.

obowiązek, bo ten milion to skarb narodowy, to kapitał wielki, a niepożyteczny, nie daje bowiem odsetek dla sprawy narodowej, to złoto, leżące w błocie, to skarb wielki, ale zakopany, o którym niby nie wiemy“.

Jako kaznodzieja odznacza się ks. Gromnicki rzadkim darem i umiejętnością przemawiania do ludu. Ażeby to ocenić, potrzeba ks. Gromnickiego słyszeć przemawiającego na wolnem miejscu do kilkutysięcznego tłumu. Panuje on nad nim niepodzielnie, gdyż posiada klucz do jego duszy.

Szczerze życzymy więc sobie wszyscy, by ks. prałat Gromnicki jak najrychlej wrócił do zdrowia i tem życzeniem niniejszy artykulik kończymy.

W dzisiejszym numerze podajemy portret ks. St. Gromnickiego.

Wybór króla w Norwegii.

W czasie, gdy oczy całego świata zwrócone były na daleki Wschód, gdzie się toczyła wojna rosyjsko-japońska, oraz na Rosyę europejską, w której odbywała się wielka ewolucya społeczna, nie zauważono nawet, że na północy Europy, na półwyspie skandynawskim, dokonują się również rzeczy epokowej wagi, które mogą wywrzeć decydujący wpływ na politykę mocarstw europejskich. Mówimy o zerwaniu unii szwedzko-norweskiej.



Wybór króla w Norwegii: Królowa Maud w narodowym stroju norweskim.

Norwegia, mały kraik na półwyspie skandynawskim, dała dowód, że dzisiaj stoi pod względem świadomości swoich obywateli najwyżej ze wszystkich państw europejskich. Dość powiedzieć, że jest to jedyny kraj w Europie, w którym niema analfabetów, w którym każdy obywatel, czy to chłop, rybak, robotnik, czy kupiec lub urzędnik, rozumie doskonale, że jest wolnym obywatelem wolnego państwa i przedewszystkiem stara się o to, ażeby pracą swoją przynieść pożytek państwu, t.j. ogółowi obywateli. Zdawałoby się zatem, że Norwegowie są najzaciętszymi republikanami i cały świat spodziewał się, że po zerwaniu unii ze Szwecyą i zdetronizowaniu króla, Norwegia zostanie rzecząpospolitą. Tymczasem głosowanie ludowe, zarządzone w tej sprawie przez tymczasowy rząd, okazało najdowodniej, że naród norweski ma przekonania nawskróś monarchiczne, przeważająca bowiem ilość głosów była za tem, ażeby Norwegia została królestwem, tak dalece, że nawet w sthortingu posłowie o przekonaniach republikańskich, widząc, iż większość narodu życzy sobie, aby na tronie norweskim zasiadł król, oddali również swoje głosy za królestwem, tak, iż jednogłośnie wybrano królem księcia duńskiego Karola, który wybór przyjął i ma zasiąść na tronie jako Hakon VII.

Tak więc na półwyspie skandynawskim powstało nowe królestwo, które w polityce ogólno europejskiej ważną odegrać musi rolę już choćby z tej przyczyny, że jestto królestwo najbardziej kulturne, najwyżej ze wszystkich państw europejskich pod względem cywilizacyi stojące.

Udział ludności w wyborach był kolosalny. A były to wybory tem ciekawsze, że nie było zupełnie agitacyi, chodziło bowiem o dokładną, niczem nie krępowaną wolę ludu, czego sobie życzy: królestwa, czy republiki. Hakon VII. będzie zatem jedynym może panującym, który będzie miał za sobą cały naród. Naród bowiem wybrał go jednogłośnie, będzie mógł więc śmiało powiedzieć, że otrzymał koronę z rąk narodu całego.

W uzupełnieniu artykułu podajemy obok kilka obrazków z wyborów króla w Norwegii, oraz portret żony nowego króla, królowej Maud, w stroju norweskim.

Zgon zasłużonego pedagoga.

W zeszłym tygodniu zmarł we Lwowie jeden z bardzo zasłużonych a cichych pracowników, żołnierz wojsk polskich z r. 1863, gorliwy patryota, powszechnym otaczany w szerokich kołach szacunkiem, Jan Darosław Amborski.

Urodzony w r. 1838 we Włostowicach w powiecie lubelskim, już jako młodzieniec, jako akademik wyróżniał się gorącą miłością ludu, szczerem uczuciem patryotycznem. To też kiedy w r. 1863 zabrzmiały surmy bojowe, gdy rozpoczęła się ostatnia nasza walka o niepodległość narodową, ś. p. Jan Amborski pospieszył jeden z pierwszych w szeregi powstańcze. Po upadku powstania musiał opuścić Polskę i wraz z tysiącami innych bohaterów walki z 1863 r. udał się na emigracyę do Francyi i osiadł w Paryżu.

I choć pod względem materyalnem stosunki

(Dalszy ciąg artykułu na str. 15).



Wybór króla w Norwegii: Ludność Chrystyanii oczekuje przed redakcyą gazety „Verstens Gang“ ogłoszenia rezultatu głosowania ludowego, według nadchodzących depesz.

Zygzakiem.

Dzień 28 listopada — Kościół św. Idziego w Krakowie. — Przygoda krakowskich konserwatywnych konserwatorów wiernie dla krotochwili opowiedziana. — Niedoszły pojedynek Solskiego z prof. Zawiejskim i niektóre z tego powodu refleksye.

Pod zachmurzonem ale spokojnem niebem budził się nowy dzień świąteczny. Głęboka cisza zalegała domy i ulice miasta, sklepy były pozamykane, dorożki nie kursowały, spoczywała także kolej elektryczna. Gromady ludzi zbierały się, rosły, zapełniały chodniki i ulice. Młodzież z czerwonemi przepaskami na ręku pełniła służbę bezpieczeństwa.

Był to dzień manifestacyi powszechnej na rzecz rozszerzenia praw wyborczych, przypomnienie pod adresem bezradnego austryackiego rządu, że dłużej nie da się zbywać obywateli tego państwa półśrodkami ani też pod łudzącą formą konstytucyi utrzymać wstecznego „porządku“ rzeczy. Myśl ludzka, ruch, życie, to potęgi niezwalczone. Długo kiełkują, długo wzbierają, ale gdy wątłe formy, co nie przystają do ludzi i czasów, trzeszczeć i padać zaczną — nie ma już siły, któraby powstrzymała moc żywiołu.

Patrzymy na taką chwilę wezbrania żywiołów. Oby ci, w których ręku jest rząd i władza, zrozumieli zadanie, bodajby przejrzeli, że czas ruszyć naprzód, a niebezpiecznie tamować ten ruch żywy, prawdziwy, a więc w biegu wypadków logiczny i konieczny.

Manifestacya była piękną, wzorową, świadomą. Nigdzie nie zakłócono porządku, nigdzie nie dopuszczono się swawoli. Olbrzymi pochód, w którym wzięły udział wszystkie warstwy społeczeństwa prócz „najwyższych dziesięciu tysięcy“ — miał dobitną wymowę. Nowe życie rozsadza stare formy. Martwa już dziś konstytucya austryacka nie wystarcza dla rozbudzonych dążeń do szerszego społeczno-politycznego życia.

Krótkowidze lub zakamieniali reakcyoniści gotowi i drwić i lekceważyć. Są ślepi, lub nierozważni, ślepymi chcą pozostać aż do dnia swojej zaguby. Każdy uczciwy i sumienny człowiek, bez względu na różnicę przekonań, byleby one były rozumne a zatem zgodne z prawami naturalnego rozwoju i postępu — przyklasnąć musi tej poważnej, świadomej walce o rozszerzenie praw wyborczych. Co więcej, musi uznać i przyznać wyłączną zasługę tym, którzy walkę tę pierwsi podjęli, prowadzili i rozbudzili te dążenia w społeczeństwie. Dążenia legalne i uprawnione.

Trzeba być bardzo tępym albo dobrej wiary pozbawionym, aby takie dążenia lekceważyć lub ich nie uznawać. Czyż człowiek, który nie chce rozszerzenia praw politycznych ogółu i swoich własnych, jest dobrym obywatelem i pożytecznym czynnikiem w społeczeństwie? Czy jest to nawet uczciwe, pragnąć utrzymania takiego porządku rzeczy, w którym jedni mają wszystko, a inni prawie nic, a nadto ci, co mają, nadużywając swego położenia, wyzyskują wszystko dla siebie?

Rozszerzenie praw wyborczych jest wymogiem sprawiedliwości i uczciwości. Nowe formy życia budzą żywsze tętno, ruch myśli i duchów, konieczny dla jednostki i ogółu, niezbędny dla bytu ludów. Niechaj w granicach nowych, szerszych praw zawre walka choćby najzaciętsza, byleby uczciwem hasłem wszystkich było zmożenie nadużyć, bezprawia, ucisku...

Dlatego dzień 28 listopada 1905 jest dla ludów Austryi historycznem wydarzeniem, dlatego objawom świadomości politycznej i dążeniu do postępu i nowych form politycznego życia należy się szczere uznanie, a jest także obowiązek szczerego poparcia tych usiłowań...

U stóp pomnika narodowego wieszcza wołały tłumy ludu o prawa. Rój barwnych sztandarów otaczał wyniosłą postać poety. Tam wypowiedziano wyraźnie wielką myśl: że dla nas samych, dla naszego własnego życia i bytu żądamy praw ludzkich i sprawiedliwych.

* * *

Któż nie zna w Krakowie kościółka św. Idziego, co się wciska niby klin w najbardziej uczęszczaną i ożywioną ulicę Grodzką, a jest otoczony ruderą taką, jakiej nawet w najgorszej galicyjskiej dziurze próżnoby szukał!... Kościołek ten, w którym od lat nikt się nie modli, który ponurą swoją absydą raczej odpycha niż ujmuje — znają wszyscy mieszkańcy z lęku, jaki każdy prawie musiał przeżyć przeciskając się wąskiem na dwa łokcie przejściem między ciosami tego zabytku, a pędzącym wozem kolei elektrycznej. Jest się bowiem prawie zawsze w niebezpieczeństwie życia. Że tam jeszcze dotychczas nikogo nie zmiażdżono, nie przejechano, jest chyba zasługą św. Idziego, który mimo, że go nikt nie odwiedza ani się do niego nie modli, widocznie wiernie czuwa nad zagrożonymi przechodniami.

Uchwalono już w radzie gminnej usunięcie tej rudery, która choć stara i pamiątkowa stała się jaskrawym anachronizmem i wobec wymogów dzisiejszych czasów ostać się nie może... Atoli panowie konserwatorzy krakowscy znaleźli tam jakiś „ganeczek“, dla którego nie chcą dopuścić do usunięcia rudery. Chcą koniecznie utrzymać tę Charybdę przy ulicy Grodzkiej zapewne tak długo, aż kiedyś nie padnie ofiarą człowiek lub kilku ludzi, rzuconych falą wielkomiejskiego ruchu o zimne ciosy opuszczonego kościoła.

Ach, ci konserwatorzy, z ich gorliwością tam, gdzie jej istotnie nie potrzeba...

Przed paru laty naprawiano dom kapituły naprzeciw Wawelu, na którym znajduje się obraz Matki Boskiej, podziurawiony od kul podobno tatarskich. Restauracyę prowadził ś. p. Midowicz. Robota była w pełnym toku, gdy w tem... niemożliwy wypadek zrządził, że wybrał się tamtędy na spacer podobno p. Tomkowicz czy też inny podobny konserwator. Spojrzał i skamieniał... „wandalizm“, „niszczenie pamiątek“! Zobaczył pod okapem jakieś malowidła... Dostrzegł także, że z gzymsów sypie się na chodnik piasek z szesnastego stulecia ku niepowrotnej stracie dla polskiej sztuki. Konserwator miał czas, więc zaalarmował odrazu magistrat, radę miejską, straż ogniową i jeszcze kilka innych instytucyi. Roboty wstrzymano a wybrana komisya konserwatorów, obejrzawszy miejsce, rzekła, że istotnie nie tylko wysypała się już bardzo znaczna ilość piasku z szesnastego wieku, ale, że malowidła pod okapem są wspaniałym zabytkiem malarstwa z epoki odrodzenia. Powstał ogromny spór o autora tych fresków, który był oczywiście Włochem. Krakowska akademia umiejętności wyasygnowała już nawet poważną sumę na napisanie dzieła w tej kwestyi, a dr Klemens Bąkowski dzień i noc pracował nad badaniem owego historycznego piasku.

I oto ś. p. ks. Midowicz rozwiał te piękne złudzenia. Pewnej nocy zjawił się na zgromadzeniu trawionych gorączką wielkiej idei konserwatorów, wiodąc ze sobą starego, ale jeszcze rześkiego staruszka, Pawła Czuchrę z Krowodrzy murowanej, malarza pokojowego z zawodu. „Oto jest, rzecze, ten Włoch, autor fresków z szesnastego wieku. Malował on je przed 15-tu laty, z mojego polecenia“. Budowę poprowadzono zatem dalej, a zamiast poprzednio zamierzonej rozprawy ogłoszono zbiorową pracę wszystkich krakowskich konserwatorów p. t. „Przestoga i głośne wzywanie do wielkiej ostrożności przy restaurowaniu starych domów w Krakowie z powodu możliwych fresków z XVI-go wieku“. Książka ta jest już unikatem, gdyż ją w lot rozchwytała rozgorączkowana publiczność.

Ach, ci konserwatorzy!...

* * *

Pan Solski, znany nam już dobrze przedsiębiorca teatralny, przywiózł nie tylko ze Lwowa „talent“ w postaci p. Ireny Solskiej, ale także ogromną dozę rycerskiego animuszu, którym zaraził nie tylko członka ligi przeciwpojedynkowej p. Władysława Leopolda Jaworskiego, oraz potomka bynajmniej nie z mieczem, ale z łokciem i wagą oswojonych Feintuchów, p. Rudolfa Starzewskiego, redaktora „Czasu“, ale, co gorsza, omal nie pozbawił życia znanego i powszechnie lubianego p. Zawiejskiego, twórcy krakowskiego teatru.

Sprawa miała się tak:

P. Zawiejski, pragnąc aby teatr krakowski, jego dzieło, wieczór wyglądał przyzwoicie, domagał się, by wielki świecznik we widowni płonął podczas przedstawień. Pan Solski z oszczędności nie kazał jednak świecić, motywując to zarządzenie słowami: „Ja ani p. Mikucki na to nie mamy, a więcej już nie możemy okradać naszych aktorów i służby“. Wreszcie zagroził p. Zawiejskiemu, że mu odbierze stały fotel w teatrze, na co p. Zawiejski oświadczył, że o ten fotel wcale nie dba, a na dowód, może p. Solskiemu na tym fotelu „coś“ zostawić i wynieść się z teatru.

Na takie „*dictum*“ obudził się w p. Solskim, zgadnijcie co?... honor!... Honor w panu Solskim, co?... Rzecz zaczyna być interesująca...

Postanowił tedy wyzwać Zawiejskiego na pojedynek, atoli, o ile możności, w ten sposób, aby pojedynek do skutku nie przyszedł. Wybrał tedy na swoich sekundantów p. Władysława Leopolda Jaworskiego, urzędowego katolika i członka ligi przeciwpojedynkowej, oraz p. Rudolfa Starzewskiego, redaktora „Czasu“, licząc, że płynąca w żyłach tego polskiego konserwatysty krew Feintuchów, będzie hamować niewczesne wybuchy rycerskiego animuszu.

Cel został osiągnięty. Na naradzie sekundantów postanowiono, że wyrażenie p. Zawiejskiego mogło tylko obrazić fotel, a nie p. Solskiego, gdyż p. Zawiejski nie zdradził wcale chęci pozostawienia „czegoś“ na głowie p. Solskiego. Do pojedynku zatem niema powodu.

W ten sposób wyszedł p. Solski z całej sprawy „obronną ręką“, uniknął bowiem bardzo dla niego niebezpiecznego rozpatrywania kwestyi, czy on, ze względu na dawniejsze *curriculum vitae* jest w ogóle zdolnym do załatwiania spraw honorowych w taki sposób. P. Władysław Jaworski działał w tym wypadku jako członek ligi przeciwpojedynkowej, zaś p. Starzewski szedł za głosem swojej półkrwi.

Skończyło się więc po obywatelsku, a „honor“ p. Solskiego mimo dotkliwej obrazy... fotelu. pozostał nienaruszony. *Vide.*

Enfant terrible.

Matka: Elżuniu, pobiegnij do rzeźnika naprzeciw i popatrz, czy ma nogi cielęce.

Elżunia (powracając): Mamusiu, nie mogłam nic widzieć, bo miał buty na nogach...

Dobra różnica.

W towarzystwie pytają pewnego faceta, jaka zachodzi różnica między wypadkiem a nieszczęściem — ten zaś tak odpowiedział na zadane mu pytanie:

— Gdy idę ulicą z moją teściową, a ta się o wystający kamień potknie i upadnie, to jest wypadek — a jak wstanie, to wówczas jest nieszczęście...

Różnica.

I. terminator: Wiesz, Ferdyk, teraz to ci już wiem, jaka je różnica miendzy majstrem a czelodnikiem.

II. terminator: Jako? Rzeknijże...

I. terminator: Wis, to ci psiokrew tak jezd: jak ci panie czelodnik zachoruje, to się pedo, co jest kirny — a jak ci się majster skirzy, to się mówi, że jest chory...

Po co to pytać?

We wagonie tramwaju elektrycznego siedzi jakiś jegomość między dwoma paniami, z których jedna starsza i kolosalnie brzydka, druga zaś młoda i przystojna.

Gdy wszedł konduktor, powiada jegomość:

— Dwa bilety do kolei.

— A która z tych pań do pana należy? Ta czy ta?

— Gdybyś pan wiedział, jaki ze mnie pechowiec — odpowiada pasażer, wzdychając — tobyś mię pan wcale o to nie pytał!...

Szczęście.

— Czy hrabia miał wczoraj szczęście na polowaniu?

— Kolosalne! Wyobraź sobie, nic nie trafił.

— I ty to nazywasz szczęściem?

— Rozumie się, bo gdyby co trafił, to chyba naganiacza w nogę.

Troskliwy ojciec.

— Cóż to, odprawiłeś swoją bonę?

— Tak!

— Dlaczego? Taka szykowna!

— A bo widzisz, mój kochany, była zanadto troskliwą i uważającą dla dzieci, a dla mnie nie miała najmniejszych względów...

jego ułożyły się tam dość pomyślnie, to przecież tęsknota za krajem rodzinnym, tęsknota za ziemią ojczystą, za mową polską, za swymi, stała się tak silną, że postanowił rzucić Francyę, a wrócić do Polski. Do Królestwa udać się nie mógł, osiadł więc w Galicyi, we Lwowie. Ruchliwy jego charakter nie pozwolił mu i tu być bezczynnym. Zaraz od początku też zaczął brać udział w pracy obywatelskiej na wszystkich polach. Podstawą bytu materyalnego była mu początkowo posada lektora języka francuskiego na politechnice, którą to posadę zajmował od r. 1872. Wnet potem objął takisam lektorat na wszechnicy lwowskiej. Jako nauczyciel języka francuskiego był wprost niezrównany, a metoda jego pedagogiczna, z ogólnem spotkała się uznaniem. Toż samo powiedzieć trzeba o jego wybornych podręcznikach do nauki języka francuskiego, podręcznikach tak powszechnie używanych i tak popularnych, a uznanych przez krytykę, jako pełne zalet dydaktycznych.

Zgon ś. p. Jana Amborskiego odbił się nietylko we Lwowie, ale w całej Polsce żałobnem echem. Pogrzeb zaś jego przy udziale tłumów publiczności, był dowodem niekłamanego żalu, wywołanego stratą tak pożytecznego, tak dzielnego członka społeczeństwa.

Uzupełniając to wspomnienie pośmiertne, podajemy w dzisiejszym numerze portret ś. p. Jana Amborskiego.

Po 32 latach pracy nauczycielskiej.

Jedną z najdzielniejszych i najsympatyczniejszych w Polsce pionierek emancypacyi kobiet jest pani Stefania Wechslerowa, długoletnia nauczycielka lwowskiego seminaryum nauczycielskiego żeńskiego. Urodzona w Galicyi pod Tarnopolem jako córka dzierżawcy dóbr śp. Franciszka Sólós Paidly, gorącego i szczerego patryoty Polaka, choć Węgra z nazwiska, już w domu rodzicielkim otrzymała bardzo wysokie i gruntowne wykształcenie. Wyszedłszy w 18 roku za mąż za śp. Juliusza Wechslera, przeniosła się z mężem do Jass, gdzie dalej pracowała nad własnem wykształceniem i w roku 1863 złożyła na tamtejszej wszechnicy egzamin profesorski, na podstawie którego została



Po 32 latach pracy nauczycielskiej: Stefania Wechslerowa, nauczycielka seminaryum nauczyciel. żeńskiego we Lwowie.

kierowniczką „pedagogium“, zakładu naukowego w rodzaju naszych seminaryów. Owdowiawszy po krótkiem pożyciu małżeńskiem, znalazła w tej posadzie podstawę bytu materyalnego i mogła o własnych siłach poświęcić się wychowaniu dwóch swoich synów.

Swą inteligencyą, pracowitością, i energią, zdobyła jednomyślne uznanie w bardzo szerokich kołach społeczeństwa, a słodyczą i czystością swego charakteru, ogromną uprzejmością i dobrocią szczerą, niekłamaną miłość u swych przyjaciół, bliższych znajomych, u wszystkich tych, którzy mieli sposobność z nią się zetknąć w pracy publicznej. Cześć zaś dla tej dzielnej pionierki równouprawnienia kobiet jest tem większą i powszechniejszą, że wypełniła ona chlubne posłannictwo kobiety jako żona i matka. Jej dwaj synowie, przez nią w bardzo ciężkich warunkach materyalnych wychowani, zajmują wybitne w społeczeństwie stanowiska; jeden, Antoni, jest szefem departamentu ruchu w dyrekcyi kolei państw. we Lwowie, drugi, dr. Emil, bardzo wziętym i cenionym lekarzem i prezesem lwowskiego tow. lekarskiego.

Po 32 latach pracy nauczycielskiej w seminaryum, ustąpiła p. Wechslerowa z tego stanowiska, a jej dawne uczennice urządziły w ubiegłą sobotę zebranie towarzyskie, chcąc w ten sposób dać wyraz uczuciom przywiązania i czci dla swej nauczycielki. Na zebraniu tem była i ceniona nasza poetka p. Marya Konopnicka, osobista przyjaciółka p. Wechslerowej i wygłosiła prześliczną mowę.

W dzisiejszym numerze podajemy portret pani Wechslerowej.

Strejk masowy w Krakowie.

Olbrzymia w swoim przebiegu i skutkach rewolucya w Rosyi, okazała dobitnie, jak wielką siłę stanowią w państwie masy robocze i jak straszną ich bronią w walce o prawa są strejki. Robotnicy całego świata śledzili rewolucyę rosyjską z zapartym oddechem, bo ona była probierzem ich potęgi, lekcyą, w jaki sposób najprędzej prawa się zdobywa. Lekcya ta nie pozostała bez skutku i wpłynęła na masy robotnicze przedewszystkiem w krajach Rosyi najbliższych, a więc i w Austryi, a dowodem tego był dzień 28 listopada, na który



Strejk masowy w Krakowie: Olbrzymie masy ludu, zebrane po uroczystym pochodzie ze sztandarami pod pomnikiem Mickiewicza, w chwili przemówienia jednego z mówców. (Fot. E. Pierzchalski. Kraków).



Strejk masowy w Krakowie: Grupa straży robotniczej, czuwającej nad spokojem w czasie pochodu.
(Fot. E. Pierzchalski. Kraków).

komitet socyalistyczny wyznaczył strejk generalny w całej Austryi.

Dzięki szalonej agitacyi socyalistycznej, rozwijanej od dwóch prawie miesięcy z niezmożoną energią, podnieśli naraz głowę robotnicy całej Austryi i zaczęli się głośno domagać swych praw, prawa głosowania w szczególności. Ażeby zaś udowodnić rządowi, że żądanie powszechnego prawa głosowania jest żądaniem milionów ludzi, aby pokazać państwu swą siłę, zorganizowano w dniu 28 listopada, to jest w dniu rozpoczęcia nowej sesyi parlamentu, strejk generalny w całej Austryi.

I rzeczywiście dzień 28 listopada był świętem socyalistycznem. W Krakowie czekano tego dnia z niepokojem; obawiano się, że wskutek przerwania pracy, oraz demonstracyi, przyjdzie do niepokojów i rozruchów. Nie wierzono jednak, aby strejk masowy udał się tak, jak przepowiadali socyaliści. Tymczasem strejk wypadł nadspodziewanie spokojnie.

Kraków przybrał w tym dniu charakter dziwnie świąteczny. Na ulicach nie było ani jednej dorożki, tramwaje przestały kursować, sklepy były zamknięte, we wszystkich warsztatach i fabrykach pracę przerwano.

Po godzinie 9 rano rynek główny począł się coraz bardziej zapełniać ludnością robotniczą i ciekawymi, którzy chcieli przyjrzeć się z blizka zapowiedzianemu pochodowi socyalistycznemu. Co chwila przesuwały się rynkiem poszczególne organizacye robotnicze z czerwonymi sztandarami i tablicami, na których widniały napisy: „Wolność“, „Równość“. „Braterstwo“, „Żądamy wolności prasy“, „Precz z parlamentem przywilejów“ i t. p. Wśród śpiewu „Czerwonego sztandaru“ zdążały te grupy do ujeżdżalni przy ul Rajskiej, gdzie się miało odbyć uroczyste zaromadzenie ludowe.

Udział demonstrantów był ogromnie liczny. Ujeżdżalnia nie mogła pomieścić wszystkich tłumów, które wobec tego stanęły na ulicy Rajskiej i zajęły nawet część Karmelickiej. W ujeżdżalni i przed ujeżdżalnią, jakoteż u wylotu ulicy Rajskiej wygłosili przywódcy mowy.

Po godzinie 12 ruszył pochód demonstrantów ku Rynkowi, kierując się ku pomnikowi Mickiewicza. Straż robotnicza, nosząca jako odznakę czerwone przepaski na rękach, utrzymywała porządek.

Pochód był olbrzymi, a trwał blizko godzinę. Tłumy gromadziły się koło pomnika Mickiewicza, otoczonego czerwonemi chorągwiami i sztandarami.

Cały Rynek, olbrzymi rynek krakowski, był formalnie zalany ludźmi. Po krótkiej przemowie jednego z przywódców, tłumy rozeszły się w zupełnym spokoju do domów,

Dopiero po godzinie czwartej rynek zapełnił się na nowo demonstrantami. Pomnik Mickiewicza otoczono lampionami i transparentami, oraz czerwonemi sztandarami, a gdy tłumy zalały znów cały rynek, odczytano depeszę posła Daszyńskiego o zapowiedzianej przez rząd reformie wyborczej, poczem demonstranci udali się w uroczystym pochodzie na ulicę Floryańską i Basztową, a Sławkowską powrócili na rynek, skąd się spokojnie rozeszli do domów.

Policya nie mieszała się zupełnie do demonstrantów; porządek utrzymywała wspomniana wyżej straż robotnicza. Na odwachu i w koszarach skonsygnowane były silne oddziały wojska, które jednak nie miały powodu do wkroczenia i nawet nie pokazały się na mieście.

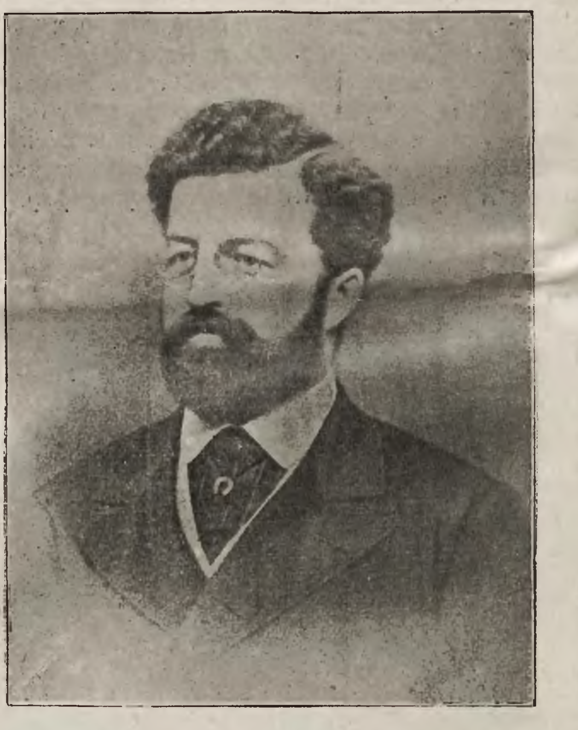
W uzupełnieniu artykułu zamieszczamy obok ilustracye. Na jednej widać grupę straży robotniczej, czuwającej nad porządkiem i spokojem, na drugiej odwach w Rynku, ze skonsygnowanym tam oddziałem piechoty; trzecia ilustracya przedstawia tłumy, zebrane przed pomnikiem Mickiewicza, w chwili przemówienia p. Haeckera, wzywającego demonstrantów do rozejścia się.



Strejk masowy w Krakowie: Odwach w rynku głównym, ze skonsygnowanym tam oddziałem piechoty.
(Fot. E. Pierzchalski. Kraków).

Skandale dworskie.

Przyzwyczailiśmy się już do senzacyi, tak zwanych „dworskich“. Niema prawie roku, w którymby dzienniki nie rozgłosiły światu nowej jakiej



Skandale dworskie: Książę Filip Koburski, mąż księżnej Ludwiki.

afery, w której bohaterami są osoby ukoronowane, albo bardzo blisko tronu stojące. Z pomiędzy z tych skandalów najbardziej interesował świat cały skandal, którego bohaterką była księżna Luiza, oraz jej mąż książę Filip koburski. W ubiegłym tygodniu zaczął się przed sądem w Gotta, niewiadomo już który z rzędu okres tego skandalu. Mianowicie sąd gottajski rozpatrywać ma skargę ks. Luizy przeciw jej mężowi. W skardze tej książę Filip obwiniony jest bardzo ciężko; całą winę niemiłej afery składa ks. Luiza na swego dostojnego małżonka, który podobno w pożyciu z nią był... niemożliwy.

Proces ten jest ogromnie senzacyjny, już choćby z tej przyczyny, że wywleczone tam będą najskrytsze tajemnice rodzinne, wszystkie brudy buduarowe, które nie przestaną nigdy nęcić dlatego, bo są brudami. Trzeba zaś przyznać, że opinia publiczna jest dzisiaj po stronie księżnej, rzeczywiście nieszczęśliwej. Książę Filip zamknął swoją żonę w domu obłąkanych, jakby w więzieniu, tymczasem specyaliści psychology francuscy po skrupulatnych badaniach przyszli do przekonania, że księżna jest najzupełniej zdrową. Fakt ten musiał przechylić opinię świata na stronę niewinnie dręczonej kobiety, która, jakąkolwiek ona tam była w pożyciu małżeńskiem, była jednak nieszczęśliwą, bo ją męczono i trzymano w domu obłąkanych i nie pozwolono jej nawet widywać dzieci, co dla matki musiało być strasznem.

Janina Korolewicz.

Jak niegdyś miasta Grecyi wiodły spór o to, do którego przynależny jest Homer — tak podobny spór toczy się dziś pomiędzy Warszawą a Lwowem o to, czy znakomita nasza śpiewaczka jest Lwowianką, czy Warszawianką. Ściśle biorąc jest i jedną i drugą, kiedy bowiem Warszawa pozwoliła ujrzeć jej światło dzienne — Lwów za pośrednictwem znakomitego maestra Wysockiego dał pierwszy ujrzeć jej światło kinkietów operowych. Spór byłby w ten sposób załatwiony, lecz cóż? Znakomita śpiewaczka z szykownej Warszawianki i uroczej Lwowianki przedzierzgnęła się dziś w wielkoświatową damę i artystkę wielką o sławie rozgłośnej, światowej i nie należy ani do Lwowa ani do Krakowa, lecz do całej Europy. Przed kilkunastu mniej więcej laty (dokładne daty zaczynam uważać za niepotrzebny balast w życiorysach pięknych kobiet) przybyło do Lwowa szczuplutkie dziewczątko po naukę do sędziwego maestra. Głosik przeciętny, aparycya od biedy, nie zdawała się wróżyć młodej entuzyastce szerokich horyzontów. Byli nawet tacy (krakających wieszczbiarzy nie brak nigdzie), którzy przepowiadali, że poza partyę Siebla lub Micaeli — szczupłe dziewczątko nie sięgnie. Lecz stary koneser, znawca talentu mistrz Walery inaczej zapatrywał się na śliczny dźwięk młodocianego głosiku. W pracy nad jego kształtowaniem dopomagał mu znakomity artysta i śpiewak z bożej łaski Aleksander Myszuga. Po kilku latach pracy wystąpiła p. Janina na scenie skarbkowskiej i zdobyła publiczność zarówno pięknym głosem jak i ujmującem wzięciem się na scenie, właśnie w partyach Siebla i Micaeli... Partyą Rozyny w parę dni później ustaliła zaś swoje stanowisko w operze lwowskiej. Tak było lat temu kilka... a dziś?! Dziś, chcąc wyliczyć sceny, na których odtwarzała niemal wszystkie postacie z zakresu sopranu dramatycznego, musiałbym na ramach „Nowości illustrowanych“ przepisać geografię całej Europy, ba nawet i więcej.



Janina Korolewicz.

Niema dziś już ani mniejszej, ani też największej sceny w Europie, na którejby p. Korolewicz-Wajdowa nie zbierała oklasków i tryumfów, niema miasta, którego melomani i znawcy nie byliby zaprzęgnięci do jej zwycięskiego rydwanu, na którym przebiega, królując w dziedzinie sztuki na przestrzeni od Petersburga do Lizbony — od Odessy do Londynu. Ta opera lwowska, która pierwsza patrzyła na pierwsze objawy wielkiego talentu, przyjmuje szczęśliwa w swych murach wielką artystkę, ciesząc się wielkoświatową.... Lwowianką, bo dzięki temu, iż Lwowiaka czystej krwi ma za mężą... przynależną do miasta Lwowa. — *.urs.* —

Z TEATRU.

„Żydzi“

Sztuka w trzech aktach Czirikowa. (Premiera z 25 listopada b. r.) Sprawa wieczoru akademickiego w teatrze krakowskim.

Przewodnią myślą autora jest prawda, której nie lęka się powiedzieć wprost i jawnie jako Rosyanin swojemu własnemu społeczeństwu, czyniąc je odpowiedzialnem za krzywdy, zadawane bezbronnym żydom, którzy przecie są ludźmi, obywatelami kraju i których życie i mienie stoi pod osłoną nie tylko prawa, ale wzniosłych zasad chrześciańskiej miłości. Treścią sztuki jest ponura tragedya, jaką przeżywa lud żydowski w dzisiejszych czasach. Prócz tego celem sztuki jest poruszenie i ujawnienie prądów socyalno-politycznych wstrząsających obecnie żydowskiem społeczeństwem, oraz walka idei syonistycznej z socyalistyczną i asymilacyjną.

Niestety, robota sceniczna nie dorosła do założenia, a obliczone na efekt sceny i akty potrącają wciąż o melodramat, wskutek czego wrażenie sztuki chwilowo silne, bardzo szybko się zaciera. Długie dyalektyczne tyrady, ze zbyt wyraźnym akcentem tendencyjności, odbierają siłę postaciom i wydarzeniom. Postać fanatyka syonizmu, (grał tę rolę wybornie p. Solski) ujęta wyłącznie tylko ze strony uczuciowej, jest ostatecznie mdłą, a patryoci — żydzi — którzy radziby oczywiście widzieć w tej sztuce dzieło, przemawiające za ich programem i propagujące ideę syonizmu, nie są z tej postaci zadowoleni. Bardzo słusznie! Przekonań politycznych i społecznych dążeń nie można opierać na samem uczuciu i roztkliwieniu, bo taki program, jako sam przez się bardzo zmienny i od chwilowych wrażeń zależny, nie może nikogo ująć ani przekonać. Silne chwilowe wrażenie nie porywa, tylko budzi współczucie, ustaje zatem po wyjściu za próg teatru.

Idea syonistyczna, dążenie do obudzenia narodowej i patryotycznej świadomości w żydach, tęsknota za utraconą ojczyzną i za jej wskrzeszeniem w świadomem narodowo-kulturnem życiu, jest ideą tak prawdziwą, tak żywotną, piękną i przekonywującą, że opieranie jej na samem tylko uczuciu sprzeciwia się jej samej. Dlatego syonista — bohater ze sztuki Czirikowa, mimo wszystkich pozorów rzeczywistości, jest postacią mało prawdziwą, ckliwą i melodramatyczną.

Przedsiębiorstwo teatralne, układające swój repertuar nie wedle wartości artystycznej dzieł, jeno wedle względów na kasę, wystawiło teraz tę sztukę, licząc na obfity połów. Ze strachu jednak, żeby sztuka nadto nie porwała tłumów, i nie nastąpił zakaz jej przedstawiania, chytry dyrektor użył ogromnie niesmacznego sposobu, przez rozrzucenie kartek we widowni, wzywających publiczność do spokoju... „dla dobra sztuki“, czytaj: dla dobra kasy teatralnej. Było to wielce głupie, a nadto niepotrzebne. Publiczność żydowska oceniła odrazu należycie wartość sztuki, działającej na bardzo naiwne uczucia i bynajmniej nie ma dla niej takiego entuzyazmu na jaki liczył p. Solski w nadziei zamienienia go na grube pieniądze. Chciwość przedsiębiorcy teatralnego posunięta jest do obrzydliwości.

Młodzież akademicka zwróciła się niedawno do tego pana z ofertą, aby im dał na jeden wieczór teatr celem urządzenia wieczoru na fundusz sprowadzenia zwłok Słowackiego do kraju. Za dyrekcyi Kotarbińskiego płaciła młodzież za teatr 500 kor., a prócz tego otrzymała od dyrekcyi kostyumy, a nadto p. Kotarbiński sam ochotnie uczył i reżyserował sceny, z dzieł Słowackiego przedstawiane przez młodzież. P. Solski zażądał za teatr 690 kor., nadto 100 koron na fundusz emerytalny (dobrodziej z cudzej kieszeni), a o żadnych wygodzeniach z garderoby teatralnej słyszeć nie chciał. Ładny pan, pracownik dla idei... sztuki teatralnej!...

Oświk.

Helena Arkawin.

Przybyła do Krakowa za dyrekcyi Kotarbińskich, jako młoda, wiele zapowiadająca artystka. Już po pierwszych występach w mniejszych rolach, potrafiła pozyskać sobie sympatyę publiczności i uznanie dosyć surowej zazwyczaj krytyki.

P. Arkawin niema jednakże szczęścia do dyrekcyi. Tak za poprzedniego dyrektora, jak i obecnie, nie znajduje, chyba tylko bardzo rzadko, sposobności do uwydatnienia swego talentu, który też z tej przyczyny nie mógł wybić się jeszcze i zabłysnąć blaskami, na jakie p Arkawin stać. Bo p. Arkanin ma talent rzeczywisty, prawdziwy, szczery i wielki, co można było poznać choćby z tych niewielu ról, w jakich mogła się popisać za poprzedniej dyrekcyi; w tym sezonie nie miała jeszcze ani jednej roli większej, dającej pole do popisu. Talent to więcej deklamacyjny, ale niepozbawiony przytem dramatycznej siły i polotu. Kreacye p. Arkawin tchną zawsze życiem i siłą i zawsze wywierają wrażenie, a to jest największą sztuką gry aktorskiej. Jej Rollisonowa w „Dziadach“ jest kreacyą, której się nie zapomina, taksamo jak Gwinona w „Lilli Wenedzie“, jak Herodyada w „Uczcie Herodyady“.

Wysoka, o twarzy pięknej, wyrazistej, jest p. Arkawin na scenie zawsze zjawiskiem mile widzianem. Znakomita deklamatorka, ilustruje słowa wybitną grą twarzy i oczu, które to smęcą się dziwną, bezbrzeżną tęsknotą, to znów jaśnieją zimnym blaskiem ironii, szyderstwa czy wzgardy, lub



Helena Arkawin.

wybuchają dzikim ogniem namiętności i dramatycznej mocy. Głos dźwięczny, metaliczny, rozbrzmiewa całą gamą modulacyi; od ochrypłego, namiętnego krzyku do rozlewnej, tęsknej melodyi śnień i marzenia. Dodać trzeba, że p. Arkawin jest artystką bardzo inteligentną i wrażliwą, że żadnej postaci nie „robi“ na zimno, ale przejmuje się nią i dusze jej daje i życie, a zrozumiemy, że publiczność krakowska, bardzo pod względem gry artystów wybredna, a nawet dużo wymagająca, obdarzyła młodą tę artystkę szczerą sympatyą i polubiła ją.

P. Arkawin występowała kilkakrotnie w Warszawie na tamtejszych koncertach w Filharmonii jako deklamatorka i zdobyła sobie powszechne uznanie. U nas, nie chcemy badać z jakich powodów, talent p. Arkawin nie ma warunków rozwoju. Nie daje się p. Arkawin ról, które jakby dla niej były stworzone, a przeznacza się je innym artystkom, które, posłuszne woli dyrektora, grają, jak mogą, wiedząc z góry, że nie zyskają uznania, ani talentu swego przez to nie pogłębią. A przecież sumienna dyrekcya powinna się starać o to, aby talentów nie paczyć i nie zniechęcać. To jest jej obowiązkiem.

W uzupełnieniu tej pobieżnej sylwetki podajemy obok portret p. Arkawin.



Plotki lwowskie.

Dużo polityki. — Serum antipolityczne. — Ciche próby a głośne rezultaty. — Nie zdradzam tajemnic. — Medya eksperymentalne. — Jak wygląda objekt, któremu wstrzyknięto surowicę. — Sprzeczność rządu. — Wpływ policyi na nerw polityczny. — Co nas przestało zajmować. — Ks. Stojałowski pies panny Miłowskiej a dyr. Grąbczewski. — Opera i dramat — Lwowscy recenzenci rżną Żydów. — Strejk masowy. — Refleksye strejkowe. — Prasa a kupcy — Komunikat bez skutku. — Niema policyi. — Przygotowania wojenne. — Bezhołowie władz. — Strejk w domu. — Wrażenie strejku.

Tyle teraz mamy we Lwowie polityki, że wielu pomysłowych techników i aptekarzy morduje sobie mózgi nad wynalezieniem pancerza antipolitycznego, względnie proszku lub surowicy antipolitycznej, po której wstrzyknięciu dany osobnik stanie się kompletnie odpornym i nieczułym na wszystkie polityczne namiętności, bąki i herezye i to bez względu na to, czy czyta dzienniki polityczne czy nie i czy zetknie się z policyą pieszą czy konną.

Naturalnie, że wynalazki owe, choć są już na najlepszej drodze i wróżą zadowalniające skutki, muszą jeszcze przez czas pewien zostawać w tajemnicy, aż by niepowołane żywioły nie wpłynęły terrorem lub innymi środkami niedozwolonymi na ich udaremnienie. To jednak jest już dziś pewnem, że dotychczasowe ciche próby wydały znakomite i głośne rezultaty, a ludzie, którzy nie znają powodów niejednego „kroku politycznego“ zachodzą w głowę i nie znajdują odpowiedzi na pytanie, skąd to tumaństwo polityczne?

Mógłbym wymienić wielu takich polityków, którym wstrzyknięto niezawodnie porządną porcyę owego serum antipolitycznego, a mimo to robią dalej politykę, nie wiedząc podobno o swojej chorobie, czy przeciwnie o swojem zbytniem zdrowiu, o swojej odporności — nie wymieniam ich jednak po nazwisku, ażeby nie zdradzać jeszcze tajemnicy wynalazców, jak długo jeszcze swych wynalazków nie opatentowali.

Ale owe medya, używane do rzeczonych eksperymentów, są same przez się znakomitą reklamą dla tego wynalazku. Objekt taki przedstawia się dość ciekawie. W t. zw. głowie przerażające pustki, język nieruchomy jak nowa dwupiętrowa kamienica służy wyłącznie do kiwania, kark miękki jak wazelina, grzbiet kompletnie schylony, nogi wiecznie suwające się, ręce przeważnie nieczyste, pomimo starannego ich umywania — całość robi wrażenie pajaca, który za pociągnięciem sznurka porusza się na życzenie tego, kto go w danej chwili trzyma w ręku. Takich pajaców politycznych mamy wszędzie i takich nam najwięcej potrzeba. Podobno nawet władze czynią już starania, ażeby wprowadzić w szkołach, urzędach a nawet przy wojsku szczepienie przymusowe ową surowicą antipolityczną, poczem nawet upragnione powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo głosowania będzie mniej niebezpiecznem dla całości monarchii i niezachwianej lojalności naszego kraju.

Nie mogę tylko zrozumieć stanowiska rządu, który z jednej strony w sposób powyżej opisany zamierza tępić w swoich obywatelach wszelki nerw polityczny, a z drugiej strony ma wprost przeciwny a bardzo niezawodny środek do rozdmuchiwania życia politycznego i tego środka używa w mierze większej, aniżeli tego żądamy. Tym środkiem to policya. Niejeden z berbeciów ulicznych nie przyłączałby się do demonstracyjnych pochodów, nie wybijałby szyb „z motywów politycznych“ nie ciskałby kamieniami w policajskie czako i księżyc — gdyby nie zachęcała do tego honorowa asystencya całego sztabu polikierów i szpiclów, gdyby nie taniec i szarża policyantów konnych, gdyby nie wojskowa komenda różnych koncept praktykantów i koncepistów dyrekcyi policyi, działających w imieniu prawa t. j. w imieniu dyrektora Schechtla.

Cały tydzień ubiegły to nic, tylko polityka i polityka. I w teatrze i na ulicy i w sejmie i w radzie miejskiej i w szkołach i w kawiarniach i w salach specyalnie na ten cel wynajętych — wszędzie polityka... Można nawet powiedzieć, że głównie zajmujemy się polityką a tylko pobocznie tem, co stanowi nasze codzienne zajęcie.

Inne wypadki, które przynosi nam dzień lub noc, mało nas interesują lub wcale nie. Bo co dziś kogoś obchodzić może, że gmach gimnazyum niemieckiego „chce“ się zawalić, że dyrektor Heller nie miał powodzenia w Medyolanie, że kogoś przejechano wbrew jego życzeniu automobilem lub wozem, że ktoś zastrzelił się lub powiesił z miłości, która jednak jeszcze istnieje, że inny roztargniony, chcąc się uwolnić od niedobrej teściowej, uciekł z nią od swej żony, że złodzieje lwowscy kpią z policyi i pracują w pocie czoła swoich ofiar dniem i nocą nad powszechnym, równym i tajnym rozdziałem ruchomości i mienia między siebie i swoich klientów, czy pacyentów, czy dostawców, że tyle innych ciekawych i sympatycznych rzeczy dostarczają kroniki i depesze...

Nic nas to wszystko nie obchodzi, podobnie, jak nie obchodzi księdza Stojałowskiego to, że pies panny Miłowskiej nie lubi paprykowanego gulaszu a dyrektor Grąbczewski nie znosi galicyjskich fryzyerów i recenzentów teatralnych bardzo słusznie. Mimo to opera ma powodzenie i wystawia z szubienicznym humorem jakby na złość wszystkie, już dawno emerytowane dzieła muzyczne w guście Trubadura, Żydówki itp. Z dramatu „Żydzi“ Czirikowa miały i mają duże powodzenie, bo mają podkład polityczny, nawet dubeltowy i mogą się podobać zarówno syonistom jak i socyalistom. Natomiast lwowscy recenzenci teatralni, zapatrzeni podobno na czyny chuliganów i innych lepszych członków czarnych sotni rosyjskich zarznęli „Żydów“ z kretesem, przyczem atoli na szczęście nikt życia nie stracił, a dramat Czirikowa idzie dalej i robi kasę. Dzięki temu sprawa nie pójdzie do sądu. Wynika stąd jasno, że lwowscy recenzenci nawet zarzynać nie potrafią ze skutkiem i musi nam wystarczyć ich dobra chęć. A teraz wracam na chwilę do polityki.

Mieliśmy we wtorek strejk masowy a raczej powszechny — o ile mi wiadomo — pierwszy we Lwowie bo dotąd nie znano u nas strejków powszechnych. Już na kilka dni przedtem mówiono dużo o strejku wtorkowym i przepowiadano sobie najrozmaitsze dziwactwa. Władze poczyniły najdalej idące przygotowania, jakby tu nie chodziło o spokojną i poważną manifestacyę, o najmodniejszą broń polityczną, ale jakby nam groziła krwawa rewolucya co najmniej...

Pozostają mi jeszcze nieliczne refleksye. Otóż naprzód prasa. Naturalnie, że pisma o radykalniejszym odcieniu wzywały do udziału w strejku. Tego się można było spodziewać. Ale nie byłbym się spodziewał, że dzienniki inne zajmą w tej sprawie tak skrajnie opozycyjne stanowisko. Nie wolno, wołały, to terror, to zbrodnia... Był to błąd co najmniej taktyczny. Mogły bowiem owe dzienniki liczyć z góry na to, że wobec dzisiejszego prądu głos ich pozostanie głosem wołającego na puszczy. O terrorze istotnym nikt nie słyszał. Żadnego kupca nie zmuszano do zamykania sklepu, nikomu nie „dano do zrozumienia“, że komitet nie bierze na siebie żadnej odpowiedzialności za całość szyb otwartego sklepu, wszystko to brednie tendencyjne, rozsiewane przez przeciwników strejku masowego w tym lub owym celu...

Inna rzecz, że można było wymagać od wszystkich kupców, by się przyczynili do imponującego świątecznego wyglądu miasta, a raczej odwrotnie, by przez otwieranie pojedynczych sklepów tego wyglądu uroczystego nie psuli... Na to nie potrzeba nawet być socyalistą, a wystarczy mieć takt i umieć uszanować wierzenia innych, ich dążenia, ich walkę długą i ciężką, ich święto... Jeśli żyd zdejmie z głowy kapelusz przed procesyą chrześciańską to nie przestaje jeszcze być żydem, nie zaczyna być chrześcianinem, a tylko oddaje szacunek obcej dla siebie wierze i chce, by i jego wiarę szanowano... Lecz tym kupcom, którzy we wtorek pozamykali swoje sklepy, dążenie do reformy wyborczej nie jest tak bardzo obcem, by je tylko szanować mieli a nie pragnąć urzeczywistnienia tej reformy.. Kupiectwo nasze, galicyjskie, ma niejeden żal do panującego systemu, ażeby mogło być zadowolone... To też tem dziwniejszym był komunikat Stowarzyszenia kupców z wymówkami pod adresem socyalistów, jakoby tylko pod naciskiem rzekomego terroru zmuszeni byli niektórzy kupcy zamykać swoje sklepy i uchwała tegoż Stowarzyszenia, postanawiająca pracy w tym dniu nie przerywać...

Pokazało się, że cała uchwała nie miała skutku. Ani jeden kupiec sklepu nie otworzył! Więc jak teraz wygląda powaga uchwał tego stowarzyszenia?

Szczęśliwą można nazwać myśl, żeby policyi nie dopuścić do udziału w zgromadzeniach, w pochodzie, w manifestacyi. U nas policya zdobyła sobie taką „popularność“, że sam widok policyanta drażni ludzi. To wyłączna zasługa systemu dyr. Schechtla... A policyi we wtorek prawie widać nie było. Tu i ówdzie błysnął księżyc policajski lub pokazał się konik z bohaterem na grzbiecie, jakby w tym celu, ażebyśmy nie zapomnieli o ich istnieniu... Ale udziału nie brali i dzięki temu obeszło się bez rozlewu krwi.

Mimowoli nasuwa się po raz setny pytanie, dla jakiego dyabła istnieje we Lwowie ta policya. Przed nożowcami, złodziejami i rozbójnikami nikogo nie ochrania, a w demonstracyach politycznych wywołuje zamieszki i rozlew krwi... ta sławetna władza „bezpieczeństwa publicznego“.

Władze wojskowe przygotowały się na wojnę domową. Lwowski pułk 30 poszedł podobno na Węgry, jako niebezpieczny, bo podminowany duchem rewolucyjnym. Lwowska załoga wzmocniona o 50% — słowem wojna. Ale to wojsko, choć przygotowane kompletnie, choć na srogim „kriegsfusie“ z ostrymi ładunkami w karabinach i „patrontaszach“ czy innych siufecach (bo nie znam wojskowego leksykonu) — to wojsko siedziało w różnych dziurach, biwakowało w sieniach lub na podwórzach koszarowych konnej policyi i wszystkich kasarń, urzędów, szkół itd.

Lud roboczy miał manifestować, więc owe przygotowania wojenne były poprostu konieczne. Bez tego byłoby źle... Byłby Lwów wyleciał w powietrze razem z namiestnictwem, urzędem podatkowym i jatkami.

Ma się poprostu to wrażenie, że te władze nie zdawały sobie sprawy z celu owego strejku. Że władze opanowuje często takie bezhołowie, o tem wiedzieliśmy już dawniej. Ale byli we Lwowie ludzie poważni, którzy także obawiali się... Znam takich, którzy od poniedziałku do środy rano „strejkowali“ w domu, nie wychodząc na miasto z obawy przed — policyą lwowską. Nie wiedzieli, że tym razem policyi nie zaproszono. Jestto świadectwem ogólnego zdenerwowania, gorączki na tle gorącego ducha czasu...

Mamże jeszcze słów kilka poświęcić samej uroczystości? Krótko powiem, że w masowym strejku całej Austryi Lwów nie pozostał zapewne w tyle. Miało się wrażenie, że to dzień ważnego, wielkiego, powszechnego święta, obchodzonego przez wszystkich bez różnicy wyznania. Czuło się, że to święto idei, że ten pochód wśród urywanych głosów pieśni rewolucyjnych imponuje siłą i grozą, nie pozwalającą lekceważyć żądań jego uczestników; że ci ludzie zdają sobie sprawę z celu, do którego dążą i z sił, za pomocą których do niego dążą, że ten cel upragniony, do niedawna tak daleki, zbliża się coraz bardziej...

To było wielkie święto, ta wigilia wielkiego święta... *Klewe.*

Kącik humorystyczny.

W domu.

Żona: Wiedz, że jeżeli wyszłam za ciebie, to tylko dlatego, żeby Karolowi zrobić na złość!...

Mąż: Oh, jakaż szkoda, żeś za niego nie wyszła, aby mnie zrobić na złość?!...

W sądzie.

Sędzia: Więc jakim sposobem on pana obraził?

Oskarżyciel: Nazwał mnie oszustem, a ja jego złodziejem...

Sędzia: A czy się panowie znacie?

Oskarżyciel: O! nawet bardzo dobrze...

Zagalopował się.

Pewien profesor historyi starożytnej wykłada: „Starożytni Germanie tak namiętnie grali w kości, że czasami przegrywali nawet s w o j e ż o n y... (Z głębokiem westchnieniem): Szczęśliwi byli ci starzy...

Logika kobieca.

Żona (do męża): Więc zniżyli jeszcze bardziej stopę procentową w Kasie Oszczędności? To przecież będzie o wiele praktyczniej, gdy będziemy mniej składali do Kasy... a ja sobie za to sprawię nową suknię... P r z y n a j m n i e j b ę d z i e s i ę c o ś m i a ł o z e s w o i c h p i e n i ę d z y...

Karol Skarzyński.

Artysta, którego podobiznę podajemy w dzisiejszym numerze, jest jednym z tych niewielu, którzy, aczkolwiek pracują dla swoich i wśród swoich, — otrzymali uznanie przedewszystkiem od obcych, którzy nie wahali się zaliczyć go do grona najwybitniejszych przedstawicieli współczesnego kunsztu wiolonczellowego w Europie. Cichy, nienarzucający nikomu ani swej osoby, ani swych przekonań artystycznych, ani też swej sztuki – przejechał nasz artysta kraj cały, od morza do morza niemal, zadziwiając piękną, głęboką i umiejętną grą i budząc wszędzie sztuką swą w duszach słuchaczy najszlachetniejsze myśli i uczucia. – Skarzyński chce w słuchaczu swym widzieć współtowarzysza przeżywającego z nim godzinę sztuki, — kommilitona w odczuwaniu muzycznego piękna, duszę chłonącą z nim razem głębie i istotną wartość wykonywanego utworu. Stąd szukający w sali koncertowej nadzwyczajnych błysków techniki, — zawrotnych i karkołomnych popisów wirtuozeryi, wybuchu uczucia lub innych tym podobnych olśniewających sztuk blagi muzycznej – nie znajdą dla siebie, odpowiedniego żeru na produkcyi Skarzyńskiego — znajdą go jednak, i to w szlachetnem gatunku, czujące dusze, muzyczne organizacye i miłośnicy nie narzucającego się krzykliwie piękna muzycznego. Stąd ci, którzy stoją blisko i najbliżej tego artysty, ci umieją cenić i cenią w nim nietylko mistrza i prawdziwego kapłana, lecz przedewszystkiem proroka swej sztuki.

Twierdzenie jednego z koryfeuszów krytyki współczesnej, iż „wiolonczellistą trzeba się urodzić"... uzasadnił właśnie Skarzyński. – Pierwotnie uczył się gry na skrzypcach, lecz drzymało w nim umiłowanie głębszego tonu tak, iż mimo dalekiego zaawansowania się w grze na skrzypcach porzuca je i oddaje się z zapałem wiolonczelli. Widocznie odbiły się niezatartem wspomnieniem w dziecinnej duszy przyszłego artysty i kierowały później wyborem środka do uzewnętrznienia myśli w poważnym dźwięku – te same tęskne, na niski ton nastrojone, poszumy ciemnych fal Bałtyku, na którego zimnym brzegu ujrzał nasz artysta światło dzienne (w Libawie 5 stycznia 1873), – na którego brzegu spędził swe lata „sielskie, anielskie". — Tu swę muzykalne i marzycielsko uspo-



Karol Skarzyński.

sobione chłopie sposobili państwo Skarzyńscy do walki życiowej, każąc mu uczęszczać do miejscowego gimnazyum. Pragnęli widzieć swego syna na jakimś realnym posterunku. Muzyki, uczono go przygodnie. Przyszły wiolonczellista uczył się najpierw gry na skrzypcach – poźniej na... flecie. Oba rodzaje muzyki, — ton piskliwy nie zadawalniały go. Dopiero poważny i po męsku śpiewny ton wiolonczelli, wydobyty dłonią mistrza, zasłyszany przypadkowo na koncercie, zadecydował ostatecznie wybór instrumentu, a z niem i przyszłość młodego chłopca.

Po ukończeniu gimnazyum w Libawie, wysłali rodzice młodzieńca do konserwatoryum warszawskiego. Kończy je Skarzyński jako laureat w r. 1896. – Dalsze poważne studya w konserwatoryum lipskiem, pod okiem takiego mistrza i pedagoga, jak Juliusz Klengel, tudzież muzykalna dusza rozwinięta w atmosferze nawskroś muzycznej Lipska, wyrobiły zeń artystę. W roku 1899, życzliwie przyjęty przez publiczność lipską na pierwszym swym występie, rozpoczął Skarzyński karyerę koncertową... Grał we wszystkich znaczniejszych środowiskach muzycznych Niemiec, Austryi, Cesarstwa i kraju ojczystego, zdobywając zarówno u muzykalnej publiczności, jak i u prasy obcej tudzież rodzinnej uznanie.

Karyerę koncertową, przerwało jednak zaproszenie krakowskiego Tow. Muzycznego, które pragnęło tak wybitnego wirtuoza artystę mieć w świetnem gronie nauczycieli swego konserwatoryum. Nie tyle warunki materyalne, jak sposobność poważnej pracy na niwie ojczystej, skłoniły Skarzyńskiego do zarzucenia karyery wirtuoza, a oddania się całą duszą pedagogii muzycznej. Wśród nas, w Krakowie, gdzie założył ognisko domowe, pracuje więc z wielkim pożytkiem dla podniesienia ogólnego umuzykalnienia, dając krajowi rokrocznie po kilku wyszkolonych wiolenczellistów — a nadto urządzając wycieczki po kraju w charakterze koncertanta. — Taką podróż koncertową podjął obecnie artysta nasz po Galicyi, tudzież po Poznańskiem w roku obecnym, przyjąwszy młodego ucznia prof. Lalewicza, pianistę Feldstajna, za akompaniatora towarzysza.

Prof Skarzyński jest autorem kilkudziesięciu wytwornych kompozycyj na wiolonczellę, z których część ogłosił drukiem. — *urs.* —

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył **M. S.**

28 (Ciąg dalszy).

„Więcej nie miałbym już nic do doniesienia kochanej miss Springer o jej przyjaciołach i znajomych, choć do najświeższych nowości zaliczyć trzeba fakt, że mister Fred Archer, młody inżynier, który bywał bardzo częstym gościem w domu Rudolfa Springera, zaręczył się przed paru dniami z młodą, bajecznie bogatą wdową po mr. Asthonie. Ślub ich odbędzie się w przyszłym miesiącu, ale wiadomość ta nie będzie chyba bardzo interesować miss Heleny..."

Ile razy biedna sierota czytała tych kilka wierszy, okrzyk: „to kłamstwo! potworne, bezczelne kłamstwo!" rwał się jej na usta. Ale gdy oglądnęła list i kopertę, gdy zauważyła, ile cech prawdziwości i znajomości stosunków zawiera ten list nieszczęsny, zwątpienie i lęk zaczęły rodzić się w jej sercu, choć do Archera miała zaufanie. Wszystko, co dotychczas wycierpiała, zdawało się dla niej niczem w porównaniu z obecną męką, z tem zwątpieniem i z tą niepewnością, jakie ją ogarnęły!...

I biedne dziewczę uczuło potrzebę pomówienia z kimś otwarcie o swojem położeniu. To też szybko zarzuciła płaszczyk, schowała list Piersona do kieszeni i zbiegła ze schodów. Franciszek słyszał, jak Helena wychodziła z domu i chciał ją siłą zatrzymać, ale doktor sprzeciwił się temu. Jego zdaniem nie należało bez potrzeby jątrzyć sieroty. Chce iść do miasta, to niech idzie! I owszem, tam dowie się, co mówią o jej ucieczce z Cezarem i jak zapatrują się na tę całą sprawę!...

A Helena biegiem prawie zdążała w ten ubogi zaułek, gdzie mieszkał stary Najpert i jakieś przykre uczucie ogarnęło ją, gdy przed znanym sobie domkiem, który opuściła przed kilku dniami z silnem postanowieniem ucieczki, ujrzała prosty wóz, służący do przewożenia na cmentarz tych biedaków, co nie mieli familii i środków na bodaj jaki taki pogrzeb.

W drzwiach domku stało kilka obdartych i brudnych kobiet, które widocznie w braku innej senzacyi, czekały na wyniesienie zwłok zmarłego. Z bijącem sercem weszła Helena do domku i przeszedłszy mały, wąski korytarzyk, stanęła przed drzwiami izdebki Najperta, gdy wtem dostrzegła ją gospodyni starca i odezwała się ze smutną powagą w głosie:

— Ach! to panienka! jakże dobrze, że panienka chociaż dzisiaj przychodzi! on ciągle w ostatnich dniach wspominał o panience, bo był pewny, że panienka dotrzyma obietnicy i znowu go odwiedzi!...

Helena musiała oprzeć się o ścianę, bo nogi zachwiały się pod nią.

— Na miły Bóg! powiedz pani! — szepnęła z trwogą — przecież on chyba jeszcze nie umarł?!

— Ach! to panienka jeszcze nic nie wie?!... Tak! przed dwoma dniami zasnął niby i już nie obudził się więcej, a dzisiaj mają go właśnie pochować! U nas biednych ludzi, to trzeba się spieszyć z pogrzebem, a tu i tak nie było na co czekać, bo nikt nawet kwiatka nie rzucił na jego trumnę!...

Łkanie wstrząsnęło piersią Heleny. Nielitościwa śmierć wydarła jej jedynego przyjaciela i teraz biedne dziewczę pozostało samo jedno na świecie, wystawione na męki i prześladowanie swych wrogów. Teraz Helena nie mogła już wnieść przeciw stryjowi i przeciw opiekunowi strasznego oskarżenia, bo nawet nie miała cienia dowodu w rękach, a jeden jedyny człowiek, który mógłby był poprzeć tę skargę, skonał i nie mógł przemówić. Gdyby otworzyła usta, gdyby zaczęła mówić, wyśmianoby ją, jako kłamczynię, albo też wyrażonoby zdziwienie, że śmie miotać oszczerstwa na dwóch poważanych obywateli, wspierając się jedynie na chorobliwych majaczeniach konającego. Gospodyni, w której niemałe wzbudziło zdziwienie, że młoda, elegancko ustrojona dama płacze tak gorzkiemi łzami po śmierci ubogiego pisarza, opuszczonego przez wszystkich, zapytała cicho, czy nie chciałaby oglądnąć zwłok starca, za nim trumnę zabiją, a gdy Helena potakująco skinęła głową, zaprowadziła ją do izdebki Najperta, gdzie w prostej, z grubsza ociosanej trumnie, spoczywała cielesna jego powłoka.

Na twarzy zmarłego malował się spokój i zadowolenie tak, że Helena zaczęła mu poniekąd zazdrościć. Kilka zielonych gałązek ktoś porzucił na jego piersi, a pod głowę podsunął mu skromną poduszkę, aby nie spoczywał na drewnianem wezgłowiu. Z płaczem uklękła Helena przed trumną i poczęła gorąco się modlić, aż wreszcie tragarze, chodząc niecierpliwie po izbie, ocucili ją z chwilowego odrętwienia. Powstała z klęczek, a tragarze przybili wieko i chwyciwszy trumnę na ramiona, unieśli ją z izdebki. Helena wyszła za nimi i już na korytarzyku doleciał ją wesoły tryl kanarka, chowanego przez starego Najperta. — Mądry ptaszek imieniem swego pana dziękuje Bogu że wyrwał go z tego świata nędzy, zbrodni i męczarni! — pomyślało sobie młode dziewczę.

Fred Archer.

Zaledwie komisarz Berman wszedł do swego biura, gdy woźny zameldował mu, że jakiś obcy pan parę zapytywał już o niego, twierdząc, iż ma bardzo ważny interes. Komisarz wziął z rąk woźnego kartę wizytową nieznajomego i przeczytawszy „Fred Archer, inżynier" polecił mu, aby wprowadził nieznajomego, skoro tylko przyjdzie do biura.

W parę minut potem Fred Archer stanął już przed komisarzem.

Był to wysoki, młody mężczyzna, mogący liczyć najwyżej dwadzieścia siedm lat, o imponującej postawie i wyrazistej twarzy, pełnej poczciwości, która okolona długą, gęstą brodą, dodawała mu powagi i czyniła go na pierwszy rzut oka starszym, niż był w rzeczywistości. Ubrany był skromnie, ale starannie i z wielkim smakiem, a w całem jego zachowaniu się, przebijała pewność siebie, daleka od zarozumiałości i dlatego jednająca mu szacunek. Przedstawił się i na zaproszenie komisarza siadłszy przy jego biurku, bez żadnych wstępów zaczął opowiadać, co go sprowadza.

Powodem, który mnie skłonił do zjawienia się w Hamburgu i do podjęcia długiej podróży, bo przybywam aż z Ameryki — zaczął Amerykanin — jest śmierć pana Rudolfa Springera, obywatela Stanów Zjednoczonych, który, wylądowawszy tu przed trzema miesiącami, w tajemniczy sposób zakończył życie. Dyrektor policyi, do którego zwróciłem się w tej sprawie, odesłał mnie do pana, ponieważ, jak mi oświadczył, pan prowadziłeś śledztwo w tej sprawie.

Urzędnik pomyślał przez chwilę, a potem zaczął przerzucać swój notatnik.

(Ciąg dalszy nastąpi).



LUDWIK STASIAK.

NIE PODPISZĘ.

HUMORESKA.

Przed sądem powiatowym toczy się spór między panią Anastazyą Mrugaczową, poczmistrzynią z Kroguleckiego Przecławia a Mikołajem Bulczykiem, wiejskim stolarzem.

— Powiedzcie-no Bulczyku, cóż to było z tym arystonem?

— Proszę świetnego sądu, ta pani miała maszynę do grania. Darowała mi tę maszynę.

— Ja mu wcale nie darowałam.

— Więc mu pani sprzedała?

— To było tak, panie sędzio. Ja temu stolarzowi, Mikołajowi Bulczykowi, który we wsi słynie jako mechanik...

— Jakto? On jest mechanikiem, nie stolarzem?

— To niby tak się mówi, że jest mechanikiem. Bo on potrafi młyn naprawić, zegarek naprawić, raz nawet zrobił sobie z drzewa rower, ale to mu się nie udało, bo gdy kilka kroków ujechał, rozbił sobie łeb. Że jednak on ciekawy na wszystko, co kunsztowne, wieś cała nazywa go mechanikiem.

— Pani mu pożyczyłaś arystonu?

— Nie pożyczałam. Potrzebowałam wtedy na ubrania i na pakiety pocztowe szafy. Mówię do Bulczyka: podoba wam się ten aryston? On odpowiada: oj, strasznie mi się podoba. A więc ja mówię: to weźcież sobie ten aryston, będziecie dzieciom grać. No, i Bulczyk aryston wziął. Gdy on aryston brał, ja mu mówię: mój Bulczyku, zróbcie mi bajcowaną szafę na ubrania, na pakiety pocztowe i na wszystko niby...

— Cóż odpowiedział Bulczyk? Powiedział, że zrobi? Podpisał się na to?

— Ja się ta, proszę prześwietnego sądu, nigdy na niczem nie podpisuję.

— Dlaczego?

— Bo jak się tylko podpiszę, to trzeba za to płacić. Za podpis z chałupy człowieka wyrzucą.

— Cóż było z tą szafą? Zrobił?

— A zrobił i żąda odemnie za szafę, za taką podłą szafę, za taki ohydny grat, dwanaście koron.

— Pani mu nie chce dać?

— No, naturalnie, że nie chcę, bo przecież aryston był wart najmniej dwadzieścia koron. Ten Bulczyk od czasu, jak spadł ze swego drewnianego roweru, ma niedobrze w głowie.

— Wy, Bulczyku, macie źle w głowie?

— Nie, prześwietny sądzie. Ta pani ma źle w głowie. Skądże ta kataryna warta dwadzieścia koron? Trzeba mieć pomieszanie zmysłów, żeby...

— Cicho, chłopie jakiś. Ta pani niema źle w głowie.

— Dlaczego, proszę świetnego sądu?

— Jakto dlaczego? Bo ona jest poczmistrzynią, ona sprawuje władzę, wystawia recepisy i przybija pieczęcie. Gdyby miała źle w głowie, toby sobie pomyliła druki i zamiast pieczęci: Krogulecki Przecław, waliłaby: Nowy Jork albo Ickany. Rozumiesz?

— Niekoniecznie, prześwietny sądzie.

— A więc cóż z tym arystonem?

— To nie był żaden aryston, ale kataryna.

— Kręciło się korbą?

— Ależ nie, panie sędzio, tam nie było żadnej korby, bo to był aryston. Zwykłe kataryki mają korbę, ale nie taki salonowy sprzęt.

— Przepraszam panią, ale musiało się czemś kręcić, boby nie grało.

— Kręciło się.

— No więc kręciło się korbą?

— Nie było korby.

— Dajże mi pani spokój. To wszystko jedno, czem się kręciło, dość, że się kręciło. Przecie taka maszyna nie będzie grała, jak się jej nie nakręci.

— Otóż, proszę świetnego sądu, ta pani darowała mi katarynę...

— Darowałam mu w zamian za szafę.

— Jakto za szafę? Szafa nowa kosztuje dwanaście koron.

— Oto, proszę świetnego sądu, to mówi Bulczyk, który sądzi, że ma dobrze w głowie. Czy kto słyszał?! Szafa bajcowana za dwanaście koron?! Przecie u Rosenzahla są szafy piękne, są szafy nie bajcowane, ale politurowane i taka szafa politurowana kosztuje 24 korony, ale to piękna i politurowana i galeryjka politurowana. A w składzie Goldsteina widziałam, świetny sądzie, szafę i to z galeryjką i szafa politurowana i galeryjka politurowana...

— No więc czemu pani sobie nie kupiła u Goldsteina, lub Rosenzahla?

— Bo ja chciałam taniej szafy bajcowanej.

— Zrobił pani przecie bajcowaną!

— Ale chce za nią dwanaście koron. A jemu się nic nie należy, bo wziął aryston, jeszcze mnie się należy czternaście koron...

— Za co, moja pani? Za tę katarynę?

— Za katarynę! Za katarynę!

— Świetny sądzie, przecie kataryna nie wartała nic. Gdym ją przyniósł do domu, zacząłem kręcić korbą...

— A więc była korba?

— Była rączka do kręcenia, nie korba.

— Moja pani, Bulczyk teraz ma głos... A więc zaczynacie tą korbą kręcić...

— Kataryna gra. Gra chwilę... a w tem kwik! zaczyna coś w katarynie kwiczeć. I tak ciągle, chwilę gra, potem kwiczy, chwilę gra...

— A cóż tam świnia była w tej katarynie?

— To był aryston, panie sędzio...

— Ach, pardon, w arystonie.

— Nie, tylko maszyna była już sponiewierana.

— Grała przecie...

— No dobrze, moja pani, że grała. Ale ja, jako sędzia, muszę pani zwrócić uwagę, że taki aryston powinien pięknie śpiewać, a nie kwikać. Dwadzieścia koron, to są duże i piękne pieniądze, za tę sumę muzyka powinna być bez kwikania. Ileż wy, ojcze, chcecie za tę szafę?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Rozwiązania z Nru 47.

Szarada.

Mar-ty-ni-ka.

Arytmogryf.

S
l i s
z i e l e
S t a n l e y
F r a n k o n i a
S i e n k i e w i c z
M i e l e w. s k i
S ł o w a c y
E g i p t
u c z
z

Sienkiewicz.

Łamigłówka.

S e m i p a ł a t y ń s k
E l e o n o r a D u s e
R o m e o i J u l i a
G u b e r n a t o r
I n t e r c y z a
U r b a ń s k i
S e w e r y n
Z b ó j c y
W a n d a
I r y s
T o n
T a
E

Sergiusz Witte.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: M. K. Księgarnia Krzyżanowskiego Kraków, Wł. Czerkawski Dolina, Marya Zintel Brody, St. Bassara Niwiska, Marya Opolska Cz. Dunajec, Maryan Zoelner Rozwadów, Kasyno Rozwadów, Remiszewski Załawie, A. Skulski Lwów, Stadnik Grabiny, Kuszpeciński Kraków, A. Surowiecki Podgórze, St. Szwabowicz Żurawno. Maruszczak Jezierzany, St. Łaszkiewicz Słotwina, B. Ramułtowa Jeżów, Marya Asberbauer Lwów, Karol Fuchs Peczeniżyn, Paweł Wierzba Trzyniec, Jan Badura Rożdzień, Marya Zollnerówna Tarnopol, Aleks. Bocsoń Bóbrka, Zofia Bratyńska Konary, A. Zimer Mikulińce, Szczerbowa w Majdanie, Helena Ulrych Malin, Tadeusz Domain Sanok, H. Zielińska Manajów, K. Chodkiewicz Zbydniów, H. Mokrzycka Turbia, Helena Dydacka Żurawno, Józefowie Nowiccy Sokal.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Paweł Wierzba w Trzyńcu. Prosimy o nadesłanie 72 h. na koszta przesyłki.

Zagadki do nagrody.

Szarada.

Pierwsze i drugie, gdy kto zasłuży,
To z tego kłopot i wstyd ma duży.
Pierwsze i trzecie rodzi południe
I pięknie kwitnie i pachnie cudnie.
U nas ogrody niekiedy zdobi
Napój wyborny zaś z niej się robi.
Pierwsze i czwarte miejscowość znana
Słynna cudami Chrystusa Pana.
Czwarte i trzecie nazwa sklepienia,
Które kościoły stare ocienia,
Drugie i czwarte — źle! gdy śmiertelna
Jeśli ją zada dłoń silna, celna!
No — i na koniec *drugie i trzecie*
W wschodniej Galicyi mapie znajdziecie
Całość wam nazwę znowu uczyni
Wielkich pochodów — zwłaszcza w pustyni.

Logogryf.

Ułożyć 19 wyrazów w ten sposób, ażeby ich początkowe litery, czytane z góry do dołu, i końcowe z dołu do góry — utworzyły zdanie.

Znaczenie wyrazów:

1. Przeciwnicy dogmatu o Trócy św.
2. Poeta angielski.
3. Autorka polska.
4. Imię męskie słowiańskie.
5. Część ciała.
6. Żołnierz turecki.
7. Metal.
8. Mowca ateński.
9. Przystanek kolejowy na Bukowinie.
10. Naród.
11. Imię męskie.
12. Poeta polski,
13. Dwie rzeki amerykańskie, połączone spójnikiem.
14. Miasteczko w zachodniej Galicyi.
15. Imię męskie zdrobniałe.
16. Bogini.
17. Ptak.
18. Miasteczko na północ od Wilna.
19. Raj.

Do składu powyższych wyrazów użyć następujących sylab:

a, a, a, e, i, i, i, o, u, u, ya, wo, el, niec, ron, wa, tes. czar, ski, pi, ry, ryl, tur. ca, no, do, ko, cie, ko, se, kra, li, nau, za, ra, in, jan, by. chal, sław, daś, szko, ei, no, zra, ryt, cy, yo, ty, va, den, trzew, pu, nie, rze, le, ju.

Łamigłówka.

		8	2	1	6	2		
	2	8	9	2	3	2	4	
		4	2	15	15	2		
			13	16	2			
			5	13	11			
		20	2	8	13	9		
		2	11	12	15	2		
			8	18	7			
	9	7	18	16	7	10	19	
		16	17	6	15	13		
5	12	11	15	12	6	2	9	7

W miejsce liczb wstawić litery, ażeby się utworzyły słowa:

1. Wytwór fantazyi. 2. Imię biblijne. 3. Pożywienie z nieba. 4. Owad. 5. Nazwisko poety. 6. Góra biblijna. 7. Imię kobiece. 8. Krzew. 9. Miasto w Galicyi. 10. Wyrób z wełny. 11. Rzemieślnik.

Środkowa, pionowo idąca linia utworzy imię i nazwisko bohatera polskiego.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

Wspaniałą struclę migdałową z warszawskiej cukierni Kissa i Piątkowskiego w Krakowie.

Z półek księgarskich.

„Wspomnienie pozgonne“. Komitet, zawiązany celem uczczenia pamięci Maryi Wysłouchowej, wydał książeczkę, poświęconą śp. zmarłej. Rozpoczyna je wspomnienie, pióra Władysława Orkana, dalej umieszczono opis pogrzebu i przemówienia nad grobem. Osobne działy stanowią: „Kwiaty na mogiłę“ i „Ze wspomnień pośmiertnych“ w które zamknięto głosy współczucia i żalu, jakie się pojawiły bądź to drogą listowną, bądź też drogą wspomnień na łamach prasy polskiej. W dawnictwo zaopatrzono w portret śp. Wysłouchowej i w kilka rycin z pogrzebu, oraz nagrobka na cmentarzu Łyczakowskim. Okładkę, z symboliczną, płaczącą brzozą nad chatami wiejskiemi, wykonała art. mal. p. Podlewska. Książeczka kosztuje 30 gr. Główny skład w księgarni Altenberga. Kika tysięcy egzemplarzy przeznaczono do rozdania bezpłatnego między lud wiejski.

Tylko 5 koron **Anker – zegarkiem przyszłości** Tylko 5 koron



jest mój **prawdziwy szwajcarski** antymagnetyczny **Patent Anker-Remontoir** zegarek **„System Roskopf“** z masywnem, w kamieniu chodzącym, anker werkiem, z prawdziwym emaliowanym cyferblatem, masywną prawdziwą płąbą ochronną, zaopatrzoną niklową oprawą i szarnirową okrywką nad werkiem, z okrągłem uszkiem, 36 godzin idący, ozdobną pozłacaną wskazówką, dokładnie uregulowany, **z 3-letnią pisemną gwarancyą,**

sztuka 5 koron

3 sztuki K 14.–, 6 sztuk K 27.–.
Ten sam zegarek z sekundową wskazówką sztuka . . **K 6·–**
3 szt. K 16·–, 6 szt. K 33·–.
W czarnej stalowej oprawie . . . . **K 6·50**
3 szt. K 18·–, 6 szt. K 34·–.
W podw. kop. z prawdz. nikl. opr. bez wskaz. sekund. **K 8·–**
3 szt. K 22·–, 6 szt. K 40·–.
Z podwójnemi kopertami w czarnej stalowej oprawie **K 8·50**
3 szt. K 23·–, 6 szt. K 42·–.
Z podw. kop. w prawdz. nikl. oprawie z sekund. wskaz. **K 9·–**
3 szt. K 24·–, 6 szt. K 45·–.
W prawdz. srebrn. oprawie, otwarty, bez wskaz. sekund. **K 10·–**
3 szt. K 28·–, 6 szt. K 52·–.
W trwałej srebrn. oprawie, otwarty, ze wskaz. sekund. **K 12·50**
3 szt. K 35·–, 6 szt. K 68·–.
Podwójnie kryty, w srebrnej oprawie (3 srebrne koperty), wskazówka sekundowa . . . . **K 16·–**
3 szt. K 46·–, 6 szt. K 90·–.
Podwójnie kryty w ciężkiej, bogato grawirowanej, srebrnej oprawie, ze wskazówką sekundową . . **K 18·–**
3 szt. K 50·–, 6 szt. K 96·–.

Proszę tych zegarków nie porównywać z taniemi Roskopf zegarkami, które są wszelkimi znanymi sposobami reklamowemi narzucane odbiorcom. **Mój Anker, zegarek przyszłości,** odpowiada wszelkim wymaganiom P. T. Odbiorców, **jako znakomity i punktualny czasomierz.**

Wysyłamy rocznie 50.000 sztuk ku zupełnemu zadowoleniu P. T. Odbiorców. Ta wielka cyfra wysłanych zegarków **jest najlepszym dowodem rzetelności** mojego domu wysyłkowego. **Każde, nawet najmniejsze, zamówienie zostaje bardzo dokładnie załatwione. Zamiana w nieuszkodzonym stanie, jak również zwrot zapewniony.**

Wysyłka za zaliczką przez

Pierwszą fabrykę zegarków Hanns Konrad w Brüx Nr. 1381. (Czechy).

C. k. sądowy rzeczoznawca. Odznaczony c. k. orłem austryackim, złotymi i srebrnemi medalami na wystawach i więcej jak 100.000 listami uznania ze wszystkich stron świata.
Bogato illustrowane cenniki, przeszło 1000 illustracyj, wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.

Marka ochronna: **„Kotwica“**

Liniment. Capsici comp.,

zastąpienie

Pain-Expelleru,

jest powszechnie znane jako **wyśmienite, bóle uśmierzające nacieranie;** do nabycia we wszystkich aptekach po cenie 80 hal., Kr. 1.40 i 2 Kr.
Przy kupnie tego powszechnie ulubionego środka domowego należy przyjmować tylko butelki oryginalne w pudełkach z naszą ochronną marką **„kotwicą“,** wtenczas jest pewność, że się otrzymało wyrób oryginalny.

Apteka Dr. Richtera
pod „złotym lwem“ w Pradze,
ulica Elżbiety No. 5 nowy.
Wysyłka codzienna.

Dobrze idące Szwarcwaldzkie zegary



ozdobne, **z dobrym werkiem** i 3-letnią rękojmią, białe kościane wskazówki i cyfry, 18 cm. wysoki, **kompletny z bronzowanym ciężarkiem, nadzwyczaj tani**

tylko koron 2·50

Corocznie wysyłam więcej niż 50.000 zegarków ku najwyższemu zadowoleniu moich P. T. Odbiorców. Poważna ta liczba, która jest jedyną w Austryi, daje najlepszy dowód o solidności mojej firmy. Każde, nawet najmniejsze zamówienia uskuteczniam najskrupulatniej. Wysyła za zaliczką

Hanns Konrad Pierwsza fabryka zegarów w Brüx Nr. 1384 (Czechy).

Bogato illustr. cenniki z przeszło 1000 rycinami wysyła się na żądanie bezpłatnie i franko.

Tylko 2 kor. franko!



Tylko 2 kor. franko!

ZEGAREK RULETA KIESZONKOWA

Senzacyjna towarzyska zabawa!

Zegarek, który jest dokładną kopią gry ruletowej w Monte Carlo, funkcyonuje prawidłowo! Cena z objaśnieniem i planem gry w niklowanej kopercie za sztukę tylko 2 K, 3 sztuki 5 K., w czarnej stalowej kopercie, z ruchomym mechanizmem 4 K.; za poprzedniem nadesłaniem należytości także w markach przez dom eksportowy

H. Auer, Wiedeń IX/2
Nussdorferstr. 3/N.

Po tym znaku poznaje się sklepy, w których się wyłącznie Singera maszyny do szycia sprzedaje.



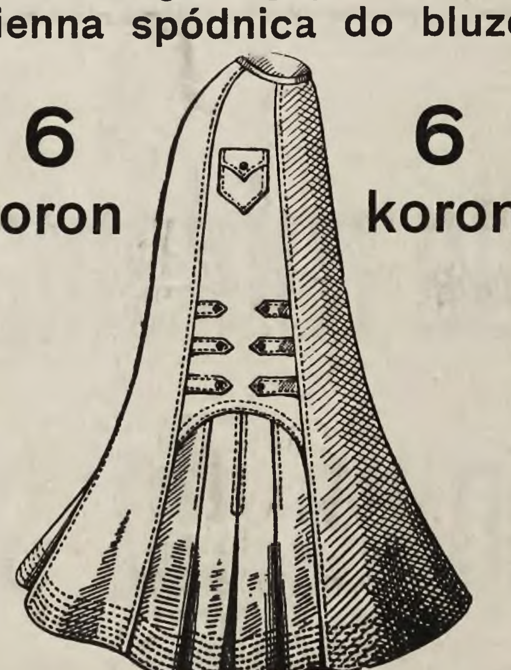
Singer Komp. Tow. akc.
MASZYN DO SZYCIA
Kraków, ulica Szpitalna Nr. 40.

☞ Ostrzegamy naszych P. T. Odbiorców przed maszynami, które dostarczają inni kupcy pod nazwą „oryginalne Singera“. Ponieważ naszych maszyn do szycia nie oddajemy nigdy żadnym kupcom do sprzedaży, przeto dostarczane przez nich maszyny pod nazwą „oryginalne Singera“ – są w najlepszym wypadku stare, używane, z trzeciej ręki nabyte i odnawiane, za które my ani odpowiedzialności nie przyjmujemy, ani też do takowych potrzebnych części nie dostarczamy.

Elegancka paryska

jesienna spódnica do bluzek

6 koron



6 koron

Najmodniejszy fason garnirowany skórką z najdelikatniejszego tyrolskiego włósia, w kolorach: czarnym, szarym, niebieskim, jakoteż koloru identycznego z tkaniną lub angielskiego, z materyałów trwałych, wytłaczanych w desenie różnego koloru sporządzane, czynią zachwycający efekt. Każdy kostyum będzie podług nadesłanej miary wykończony. Wystarczy oznaczyć szerokość obwodu sukni u dołu, w biodrach i w talii, długość z przodu od talii. Na życzenie może „kostyum Schoss“ być przybierany aksamitem lub jedwabiem. Na prowincyę wysyła się za zaliczką.

„Zur Schoss-Fabrik“ Wiedeń XVI., Lerchenfelderstr. 2.

Modne, znakomite, skórkowe pularesy nie do zniszczenia!



Tylko doborowy tower, nie podlepiane papierem! Pularesy z hawańsko-brunatnej doskonałej skóry, przedział na drobne pieniądze z niklowem okuciem, niklowy zamek, 5 przedziałów, 9 cm. długi, 5½ szeroki K. –·95. **Tanie i dobre pularesy dla pań i panów,** z 3-ma przedziałkamif każda przedziałka z osobn. zamknięciem K. 1·10. Juchtowa sport kieska »Klub« z jednego kawałka skóry bez szwu koloru hawańskiego, duża przedziałka na drobne pieniądze, 3 przedziałki, niklowe okucie K. 1·40. Eleganckie pularesy po K. 1·60, 1·80, 2·–, 2·20, 3·–, 4·80. **Żadego ryzyka! Zamiana zapewniona albo zwrot pieniędzy.** Przesyłka za zaliczką przez

HANNS KONRAD
Dom przesyłkowy w Brüx Nr. 1390 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki z przeszło 1000 illustracyami, otrzyma każdy na żądanie darmo i opłatnie.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA

Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.

Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.

Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.

Bezpłatne dodatki.

Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

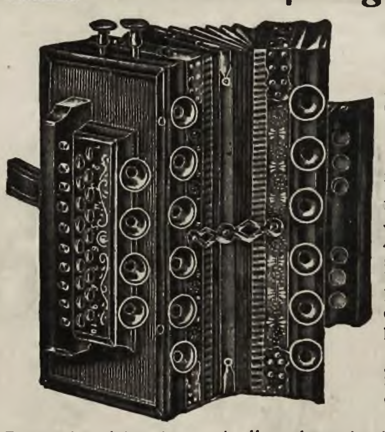
Liniment. Capsici comp.
zastąpienie
Pain-Expelleru.

Przy kupnie tego wyśmienitego, bóle uśmierzającego nacierania, które nabyć można we wszystkich aptekach, trzeba zawsze uważać na markę „kotwicę!“
Apteka Dr. Richtera, Praga.

Poleca się
EDMUND MARYAN BEER
Jubiler i złotnik
długoletni współpracownik
b. firmy
J. OSTROWSKI & J. STRZELECKI
LWÓW, Akademicka l. 4.

---

30 dni do przeglądnięcia



w myśl zobowiązań w cenniku, następnie bez żadnego ryzyka dla zamawiającego wysyłam za zaliczką moją ***„Przyjaciel ludu Harmonia“*** Nr. 663 aby każdego o niezrównanej wartości tejże przekonać. Harmonia ta zaopatrzoną jest w niedające się złamać sprężyny stalowe tak w klawiszach jak i w basach i klapach powietrznych, po 10 klawiszy w 2 rzędach. Podwójne tony, 48 tonów, 3 rzędy, trąbki, machoniowe, czarne listwy z kolorowemi wypustkami. Niklowe okucie. Podwójne miechy. Ochraniacze kątów i zapięcie. Wielkość 31×15 cm.

Cena za sztukę K 7.–.

Szkołę dla samouków otrzymuje każdy odbiorca darmo.

Tańsze i mniejsze harmonie dla poduczenia się gry na harmonii, a w szczególności dla dzieci K 2.20, 3.50, 4.40, 5.50. Lepsze harmonie po K 9.–, 10.–, 12.–, 14.–, 16.– są w moim katalogu uwidocznione. **Do moich harmonij niema doliczanych kosztów cła, ponieważ są wszystkie czeskiego wyrobu. Żadnego ryzyka, ponieważ zapewniam każdemu zamianę nawet zwrot pieniędzy.** – Wysyłka za zaliczką przez

DOM PRZESYŁKOWY INSTRUMENTÓW MUZYCZNYCH

HANNS KONRAD w Brüx Nr. 1389 (Czechy).

Bogato illustr. cennik, przeszło 1000 illustracyj, wysyłamy na żądanie darmo i opłatnie.

KAPELUSZE



HABIGA, PLESSA,
SCOTTA, BORSALINY,
PICHLERA, CHRYSTYSA
POLECA ZDZISŁAW

ZDANOWICZ W KRAKOWIE.

Niema więcej cierpień rupturowych

dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: S. Mittelmann
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis“



Właściciel: **A. MUSIOŁEK**
założony w roku 1897.
Sklep: **Kraków, ul. Sławkowska 16.**
Hodowla i skład zwierząt:
Zwierzyniec „Willa Wisła“.
Menażerya i własny park zwierząt w **„Parku Krakowskim“** poleca się nadal Szan. PT. Publ.
Cenniki bezpłatnie za nadesł. 5 hal. marki. Młode Bernhardy od 20 zł. Foxterriery, Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. – Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.

Uwaga: Okło 20 to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.

M. Beyer i Spółka, Kraków, Sukiennice Nr. 12—14.

Główny skład bielizny damskiej, męskiej i dziecinnej.

Płócien i bielizny stołowej. Całe wyprawy ślubne, od najskromniejszych do najozdobniejszych są na składzie. Wyłączny skład bielizny normalnej, trykotowej Prof. Dra Gustawa Jaegera, oraz wszelkich wyborów trykotowych, jedwabnych, wełnianych i bawełnianych, dla pań, panów i dzieci.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą.

---

6 miesięcy na próbę!

8 miesiące kredytu! Całkiem darmo!

i tym podobnych reklam firma moja używać nie potrzebuje, celem odbioru swoich zegarków. Wysyłam już od szeregu lat **ku zupełnemu zadowoleniu** moich prywatnych odbiorców, prawdziwe amerykańskie, antymagnetyczne systemu

Tylko 4 korony z łańcuszkiem i futerałem.



Roskopf-Patent

Anker - Remontoir

zegarek Nr. 99

z plombą

w czarnej imit. stalowej albo niklowej oprawie, patent. emaliowany cyferblat, 36 godzin idący, **dokładnie obciągnięty**, z 3-letnią pisemną gwarancyą, irchowym futerałem, z niklowym łańcuszkiem, wisiorkiem **K 4.—**, 3 sztuki **K 11.50**, 6 sztuk **K 22.50**. Ten sam zegarek **z dwoma kopertami K 6.80.**

Tanie systemu „Roskopf“ zegarki bez plomby, które sprzedawane bywają przez zegarmistrzów i małych handlarzy K 3.—.

Na życzenie pieniądze się zw aca, albo zamienia zegarki, jeżeli się znajdują w dobrym stanie, nawet po 6 miesiącach.

Wysyłka za zaliczką lub poprzedniem nadesłaniem należytości

Pierwsza fabryka zegarków

HANNS KONRAD

w Brüx Nr. 1380 (Czechy).

C. k. sądowy rzeczoznawca. — Odznaczony c k. państwowym orłem austryackim, złotymi i srebrnymi medalami na wystawach światowych i przeszło 100.000 pisemnemi uznaniami ze wszystk. stron świata. **Bogato illustrowane cenniki, przeszło 1000 illustracyj, wysyła na żądanie darmo i opłatnie.**

Kufry, Torby, Obuwie męskie



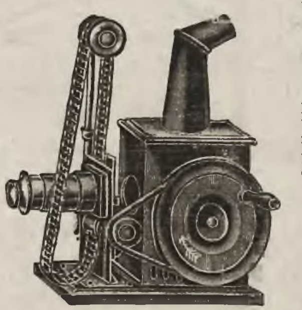
poleca

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

W KRAKOWIE

ul. Sławkowska l. 3.

Kinematograf.



Bardzo interesujące dla dzieci i dorosłych, również do użycia jako **„latarnia magiczna“**, 38 cm. wysoka, z 3-kolorowemi obrazami paskowemi (Films) i 12 szklanych obrazów, naftowa lampa, reflektor i kompletne objaśnienia na kartonie **K. 17·—.** Przez ten kinematograf mogą być tak przez młodych jak i starszych mile widziane żywe obrazy przedstawione na ścianę. Mechanizm jest bardzo prosty i pojedynczy, tak że każde dziecko może go bardzo łatwo poznać.

Zamawiać należy wprost

Pierwsza fabryka zegarów

HANNS KONRAD

w Brüx, 1392 (Czechy).

Bogato illustrowane cenniki kinematografów, latarń magicznych, maszyn parowych, mechanicznych zabawek, przesyła na żądanie darmo i opłatnie.

Krajowa fabryka mebli stylowych

kompletne urządzenia:

sypialnie od 80 złr. do 500 złr.
jadalnie „ 85 „ „ 600 „

Dla wygody P. T. Publiczności także na spłaty, odsprzedającym znaczny opust. — Styl barokowy, secesyjny i wszelkie inne. Kompletne salony z rozmaitemi pokryciami, mahoniowe, urządzenia biurowe i kuchenne, krzesła gięte i prawdziwe skórzane, meble żelazne i mo iężne, wózki dziecinne i łóżeczka, pokoje kawalerskie, największy wybór kredensów kuchennych, poleca po cenach najtańszych Skład i fabryka mebli stylowych

Ignacy Milwiw, Lwów, Słoneczna 13 i 15, Pasaż Hermanów.

SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

I WARSZTAT NAPRAWY IGNACEGO GROSSA

POD KIEROWNICTWEM:

JANA POJECO, mechanika specyalisty

W KRAKOWIE, UL. STAROWISLNA 1

(NAPRZECIW GŁ. POCZTY).

Wykonuje szybko, dokładnie i gruntownie naprawy maszyn do szycia wszelkich konstrukcyi. Sprzedaje maszyny używane w znakomitym stanie, jakoteż części składowe najlepszego gatunku do wszelkich systemów maszyn do szycia.

Zamówienia z prowincyi załatwia się odwrotną pocztą. Wszelkie naprawy mogą być uskutecznione w przeciągu 48 godzin.

CENY UMIARKOWANE.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato

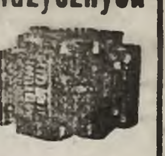
illustrowany cennik

Instrumentów muzycznych

oraz różnych

ZABAWEK





A. Scheuer, Kraków

ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

Klisze

na cynku, mosiądzu i miedzi do wydawnictw naukowych, artystycznych, kart z widokami, cenników i t. d. i t. d.

najlepiej i najtaniej wykonywa:

NAJWIĘKSZY KRAJOWY ZAKŁAD

dla reprodukcyi fototechnicznej

T. Jabłoński i Spółka w Krakowie

Telefon Nr. 614. **ul. Franciszkańska 4.**

Na prowincyę

wysyłamy po nadzwyezaj niskich cenach tak za gotówkę, jak i na kredyt dywany, portyery, firanki, kapy, koce, kołdry, konfekcyę męską, damską i dziecinną, obuwie, bieliznę, meble, lampy, naczynia porcelanowe jakoteż wszelkie inne możliwe towary.

Pięknie illustrowane nasze cenniki za nadesłaniem 10 h. w markach.

Listy należy adresować:

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA“

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.

w Krakowie,

Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



Maszyny do szycia i haftu

poleca

od 32 lat znany P. T. Publiczności

SKŁAD MASZYN

JÓZEFA IWANICKIEGO

mechanika i specyalisty

we Lwowie, Hotel George'a.

Nauki szycia i haftu udziela bezpłatnie firma.

Agentów nie posyła.

Cenniki darmo i opłatnie.

Pierwszy krajowy skład hurtowny i częściowy

Gramofonów i Fonografów

Józefa Wekslera w Krakowie, ul. Grodzka 71 a.

Generalne zastępstwo dla całej **Galicyi i Śląska Akcyjnego Towarzystwa „Gramofonów“ Wiedeń-Berlin** poleca tylko prawdziwe gramofony i płyty z marką **„Aniołek piszący“.**

Najpiękniejszy i najodpowiedniejszy

podarunek na gwiazdkę i święta



dla dorosłych i dzieci jest mówiący i grający **Gramofon koncertowy**, który z okazyi świąt polecam wraz z 10 płytami **za 70 koron.**

Wielki wybór płyt najnowszych zdjęć w cenie od **koron 1·— do 24·—.**

Części składowe zawsze na składzie. — Ceny bardzo przystępne. — Reperacye wykonuje się dokładnie i szybko po cenach umiarkowanych.

Cenniki darmo i opłatnie. — Zamówienia z prowincyi uskutecznia się odwrotną pocztą.

Bez nauczyciela, bez przygotowania i bez znajomości nut

może każdy na moim dętym

„Akkordeonie“



grać pieśni, do tańca i marsze. Na wesela, zabawy i wycieczki bardzo się nadające. Instrument ma 10 klawiszy, 20 tonów. 2 klapy powietrzne i kosztuje **sztuka wraz z samouczkiem złr. 1·25, 3 sztuki złr. 3·50. Akkordeon najlepszego gatunku z doskonałymi tonami złr. 1·80.**

Przesyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem należytości przez

HANNS KONRAD

Dom przesyłkowy instrumentów muzycznych w Brüx Nr. 1388 (Czechy).

Bogato ilustr. cenniki darmo i opłatnie.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów**, wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.

F. Pamm, Kraków

ul. Zielona 3, II. p:

Przepiękne i trwałe

ubrania zimowe z bardzo dobrej materyi kamgarnowej na każdą miarę po złr. 9·75, płaszcze zimowe (oberoki) po złr. 9·75, kurtki futrzane po złr. 13·50 wysyłamy na prowincyę tylko za pobraniem pocztowem. Na żądanie zamiana lub zwrot pieniędzy odwrotną, przez co wszelkie ryzyko wykluczone.

Zarząd pierwszego krajowego Domu towarowo-eksportowego

„JUTRZENKA“

Lwów, Pasaż Mikolascha l. p.

CUKIERNIA

Kazimierz Sotschek

LWÓW

poleca się P. T. Publiczności.

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Jakkolwiek do każdej puszki mączki dla dzieci **Gurgula** dołączonym jest sposób użycia, to jednak jeżli mączkę Gurgula ordynuje lekarz, tenże sam najlepiej oceni, jaką ilość mączki, wody i porcyi, dziennie dawać należy. (5

Do nabycia w aptekach. **Do każdej puszki dołączony przepis użycia.**

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.